

SKARPA

KWARTALNIK LITERACKI

REVISTA POLONÊSA «SKARPA»



ANO II. — JANEIRO, FEVEREIRO e MARÇO — 1965

N.º 2

HENRYK ZYLBERMAN

ENGENHARIA, COMÉRCIO E INDÚSTRIA S. A.
Rua 24 de Maio, 35 - 9.º and. Conjunto B.
SÃO PAULO

NOVO LANÇAMENTO CONDOMÍNIO BARITA

Escritórios e garagens
automáticas

Rua Barão de Itapetininga, 107 - 111
SÃO PAULO — CAPITAL

CORRETOR AUTORIZADO:

Afonso Marino Filho
CRESCI N.º 213

Rua 24 de Maio, 35, 9.º andar. Tel.: 35-2477

J. Kubodan

Revista Polonêsa "SKARPA"

ANO II. N.º 2 — Janeiro, Fevereiro e Março — 1965

DIRETOR RESPONSÁVEL: Sylvia da Fonseca.

Redator: Seweryn A. Hartman.

Editada: pela Revista Polonêsa, "Skarpa".

Redação: Rua Barão de Itapetininga, 221 s. 1203 f. 35-55-84

Administração: Rua Barão de Itapetininga, 255 s. 514.

Caixa Postal, 6335, São Paulo - Brasil

Assinaturas: Cr\$ 2 000 anuais (4 números).

Para o exterior: US \$ 3.00.

Número avulso: Cr\$ 600.

Composto e impresso na "Gráfica Vicentina Ltda." —
Alameda Cabral, 846 — Curitiba - Paraná.

Ficção czy realizm

Od wielu lat wieści się upadek powieści. Krytycy literaccy i socjologowie twierdzą, że czytelnik ma dość fikcji. Stąd wywodzi się ów urodzaj na pamiętniki, ów zalew pótek księgarskich wspominkarstwem.

Sprawa nie wydaje się jednak tak prosta. Zaczniemy od tego, że żadne dzieło literackie nie jest czystą fikcją, a żaden pamiętnik nie zawiera stuprocentowej prawdy.

W pracy literackiej, nawet w powieści i opowiadaniu zaliczonym do fantastycznych, kryminalnych, przygodowych lub science fiction, mieszczą się w mniejszym lub większym stopniu pierwiastki prawdy. Zdarza się, że i fabuła jest brana z życia, nie mówiąc już o fakturze psychologicznej, obyczajowej, opisach przyrody, całej tkance dzieła. Pisarz przesyca dzieło atmosferą własnych przeżyć, zabarwia przesłankami opartymi na autopcji, nie obywając się, rzecz jasna, bez fikcji, gdyż bez fikcji nie ma sztuki. Nawet fotografię wtedy tylko nazwiemy artystyczną, gdy w pewnej mierze udziwnia, zniekształca obraz rzeczywistości.

Co do pamiętników to nie ma takich, w których prawda nie była by spaczona. Człowiek jest tylko człowiekiem. Pisząc wspomnienia czuje się bohaterem, miewa skłonności do wybielania swojego portretu, koloryzowania. Jeżeli nie jest obdarzony zmysłem krytycyzmu — rzeczy zasłyszane podaje jako fakty niezbite. Jeżeli nie jest całkowicie obiektywny, a któż jest wolny od tego grzechu? — wówczas ludzi, z którymi się stykał przedstawia w niewłaściwym świetle.

Ale, powiecie, coś w tym musi być! Nakłady belestrystyki na całym świecie kurczą się, nakłady pamiętników i reportaży wzrastają. Jak to wytłumaczyć?

Po wyjaśnienie nie trzeba sięgać daleko. Powieść współczesna jest chora. Cierpi na atrofię fabuły, co nie jest jeszcze najgorsze, ale co w połączeniu z brakiem konstrukcji, chaotycznością narracji, nieporadnością w wypowiedzaniu myśli, niezrozumiałością, zabija jej atrakcyjność. Czytanie zamienia się tu w ciężki trud. W muzyce wykonawca, oddając intencje twórcy, dzięki wyczuciu i posiadanym umiejętnościom, ułatwia słuchaczowi percepcję, w pewnym sensie, oczywiście. We współczesnej prozie przydał by się ktoś kto by czytał głośno utwór, lektor. Być może przyswojenie treści okazało by się naówczas mniej ciężkim zadaniem.

Współczesna powieść znajduje stosunkowo niewielki krąg odbiorców. Kupują ją nieliczni znawcy i snobi. Ci ostatni nie próbują czytać nabytej książki, odstawiają ją na półkę biblioteczną w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku kulturalnego.

Przeciętny czytelnik, ten który stanowi o masowym nakładzie, odwraca się od współczesnej powieści. Szuka w książce rozszerzenia horyzontów myślowych, rozrywki. Nie znosi zaś pokonywania przy czytaniu zbyt wysokich przeszkód, przede wszystkim zaś — nudy. Współczesna powieść nudzi go, a to już jest najgorsze co można sobie wyobrazić, brak sensu drażni, długie tasiemcowce zdania doprowadzają do szału, a szukanie powiązań pomiędzy poszczególnymi fragmentami — nuży. Literatura dla literatury? Nie rozumiem tego pojęcia. 1)

Przeciętny czytelnik musi mieć, jak aktor w teatrze, rolę gotową. Jeżeli każe mu się improwizować, jak w comedia dell'arte, nie podejmie się tego zadania. Dlatego to zamilowanie do klasyków, o czym informują wszystkie ankiety i statystyki, i popyt na pamiętniki.

To nie wspominkarstwo morduje powieść, to ona sama usiłuje popełnić samobójstwo.

1. W zupełności zgadzam się z W. Gombrowiczem, gdy w "Dzienniku Transatlantycznym" pisze: "Przekłete potomstwo Joyce'a! Przekłeci jak on, ci co to powolutku, niewzruszenie, uprawiają literaturę dla literatury, wywindowaną, ezoteryczną, wspartą na gronie wtajemniczonych, gdy ja się nudzę, omdlewam, usycham!" (Kultura, nr 11/205).

ZBIGNIEW STACHOWIAK

Począwszy od następnego numeru rozpoczynamy druk powieści znakomitego pisarza brazylijskiego, pochodzenia polskiego, Władysława Romanowskiego p. t.: "O człowieku, który był zazdrosny o śmierć". Powieść ta została nagrodzona przez Brazylijską Akademię Literatury i po raz pierwszy ukaże się w języku poskim.

Złote spinki

Od pewnego czasu ta mała przynosiła sama przepisane przez siebie listy. Andrzej nie bardzo na to zwracał uwagę. Brał obojętnie teczkę, pobieżnie przeglądał teksty, dziękował skinieniem głowy. Maszynopisy wyglądały wzorowo: ani jednej omyłki, czyste, bez śladów gumy.

Przenosił wzrok z listów na maszynistkę.

Była nieduża, szara jakaś, bez wyrazu. Tylko oczy miała ogromne, błękitne jak niebo, ocienione gęstymi rzęsami.

— Dobrze, proszę pana?

Machał ręką, siląc się na uśmiech:

— Jak zawsze.

Wówczas ona cała jaśniała, jakby na nią padł jaskrawy promień słońca. Wycofywała się z gabinetu uszcześliwiona, cicho zamykając drzwi. Pozostawał po niej dziwny zapach, przypominający woń zwiędłych liści.

Kiedys zainteresowało Andrzeja jak ma na imię.

— Maryjka.

— Ach, Maryjka?...

— Podoba się panu? Ja też lubię swoje imię — ucieszyła się.

Przytaknęła grzecznie. Zarówno imię, jak i sama dziewczyna nic go nie obchodziły.

Spostrzegł, że musi być bardzo niezamożna. Nosiła czyste, ale przetarte z powodu częstego prania sukienki, które ożywiały jedynie tania broszka, ze sztuczną perłą.

— Nie ma pan nic do przepisania?

— Nie, panno Maryjko.

Nie miał ochoty przedłużać konwersacji. Myślamy był poza biurem, w mieszkaniu narzeczonej. Patrząc ponad głowę Maryjki widział białe, wypiełgnowane dłonie tamtej, spoczywające na klawiszach fortepianu.

— Szkoda.

Usuwała się, jak zwykle, prawie bezdźwięcznie, układna, delikatna. Rzęsy unosiły się do góry i na mgnienie błękitne oczy wpatrywały się w Andrzeja, jakby chciały mu coś wyjawić, czego on nie mógł, czy nie chciał zrozumieć.

W imieniny, jak co roku, pokój Andrzeja tonął w kwiatach.

Woźna Michałowska, wnosząc jeszcze jeden bukiet, powiedziała:

— U pana to jak u jakiej aktorki. Tyle kwiatów! Ale tu przynieśli coś jeszcze, prezent. Mam oddać do własnych rąk.

Paczuszka była opakowana papierem w kwiatki. W środku znajdowało się pudełko z nadrukiem znanej firmy jubilerskiej. Złote spinki! Andrzej, pełen niezdecydowania, ważył je w dłoni. Gustowne, akurat do koszuli frakowej.

— Te kobiety to pana zupełnie zepsują — śmiała się Michałowska. — Słyszane to rzeczy, żeby posyłać takie bogate podarunki? Jest także list.

Gdy Andrzej rozerwał kopertę wypadła z niej niewielka kartka. Były tam napisane tylko dwa słowa:

“Od Maryjki”.

Zaczerwienił się. Pudełko szybko schował do kieszeni, a kartkę podarł na drobne kawałki i wrzucił do kosza. Czuł się niezręcznie. Pomyślał, że dziewczyna odejmowała sobie od ust, aby kupić tę kosztowną rzecz. I skąd to jej wpadło do głowy?

Wieczorem pokazał spinki narzeczonej.

— Ładne.

— Właśnie chciałem się ciebie poradzić. Nie wiem co zrobić z tym fantem.

Uśmiechnęła się z przymusem. Widział, że była zazdrosna.

— Kto ci to dał?

— Koleżanka biurowa.

— Przystojna?

— Skąd? Bardzo brzydka.

— Zakochała się pewno w tobie.

— Też masz pomysły! — zachnął się. — Zwrócę spinki i już.

— Jak chcesz. Mnie to jest obojętne.

Milczeli chwilę.

— Poślę jej kwiaty i spinki — postanowił. — Nie powinna się obrazić. Tak będzie chyba najrzeczniej.

Nazajutrz wystarał się o adres Maryjki, kupił bukiet białych mieczyków, dołączył pudełko ze spinkami i list. Pisał, że nie może przyjąć prezentu ze względu na jego cenę, że dziękuje za pamięć. Starał się, żeby list wynadł najszerzej. Mimo to było mu nieprzyjemnie. Licho nadało! Cały dzień miał zatruty tym wydarzeniem.

Odtąd Maryjka nie pokazała się w jego pokoju. Teczkę z maszynopisami, akuratnie i czysto przeniesionymi, przynosiła Michałowska. Dwa lub trzy razy spotkał dziewczynę wychodząc z biura. Gdy kłaniał się opuszczała nisko głowę.

Potem przestał ją w ogóle widywać.

Kiedyś zapytał Michałowską:

— Co to nie widać wcale Maryjki, pani Michałowska?

— A pan nie wi? Ona już u nasz nie pracuje. Podobnież chora.

— Chora? Co to go właściwie mogło obchodzić? Przypomniał sobie Maryjkę jedynie wówczas, gdy nowa maszynistka przysłała listy brudne i z błędami.

Pewnego razu, gdy siedział w biurze po południu, zajęty rozwiązywaniem jakiejś zawilej sprawy, zapukała Michałowska. Wsuwając wielki brzuch i jedną nogę przez drzwi, powiedziała:

— Jest tu jeden taki. Powiada, że konieczne musi mówić z panem.

— Co za jeden? Nie wle pani?

— A kto go tam wi? Prosić?

Skinął głową.

Wszedł niewielki człowieczek w starym, wyświechtanym garniturze. Twarz miał mysią; siwy, obwisły wąsik i blade na wpół rozwarłe usta, spoza których wyzierały zepsute zęby.

— Małecki. Pan radca nie przypomina mojego nazwiska?

— Nie.

— Jestem ojcem Maryjki.

Andrzej zawstydział się. Jakże mógł nie pamiętać, że Maryjka nazywała się Małecka.

Wskazał gościowi krzesło, poczęstował papierosem.

Starszy pan wziął papierosa, ale trzymał go w ręku i nie zapalał.

— Pan wie, — powiedział glucho — Maryjka umarła.

— Nie żyje?

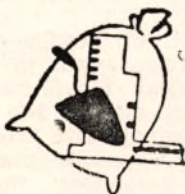
— A tak. Pochowałem ją tydzień temu. Chorowała na suchoty. Nie przypuszczałem, że to tak prędko pójdzie. Raz, dwa się zawinęła. A przed śmiercią usiadła na łóżku i mówi: "Tata, tata pójdzie do pana Andrzeja — powiedziała nazwisko — i pożegna go ode mnie". To były ostatnie jej słowa.

Seweryn A. Hartman

Casa Francaza

PEDRALIT REVESTIMENTOS LTDA.

ESC.: R. Barão de Itapetininga, 124 - 6.º. Tels.: 36-6734
e 36-0750 — FABRICA: Rua Amaro Cavalheiro, 381 (Pinheiros) - Tel. 8-1189 — SÃO PAULO.



REVESTIMENTOS EM GRANILITE

DECORAÇÕES EM GESSO

MASSAS PARA REBOCO

ARTEFATOS DE CIMENTO

ARTEFATOS DE GRANILITE

LADRILHOS

CHŁOPIEC I BUCIKI

(Napisane specjalnie dla "Skarpy")

Chłopiec kołysał się w hamaku. Dom był stary, pełen dziur, przez które wciskały się promienie słońca, znikające dopiero z nadejściem nocy. Chłopiec nie zwracał na to uwagi. Było mu obojętne, czy jest pogoda, czy też pada deszcz. Myśli jego krążyły wokół osoby świętego Mikołaja. Nie mógł zrozumieć dlaczego go nie odwiedził. Obszedł już przecież wszystkie dzieci w sąsiedztwie. Może go czymś zraził? Wydawało mu się, że zasługiwał jedynie na pochwałę. Przedwczoraj bawiąc się w krzakach za domem złapał ciemnoniebieskiego ptaszka. Pokazywał go wszystkim z dumą. Kołysał się z ptaszkiem długi czas w tym samym hamaku, a potem puścił wolno. Święty Mikołaj musi być z tego zadowolony, ponieważ kocha zwierzęta.

A może święty Mikołaj dlatego go ominął, że nie wystawił buczków na okno. Ba, toć święty powinien widzieć, że on nie ma buczków!

Krzyki i śmiechy dzieci zwabiły go do ogródka. Dzieci były uszczęśliwione, każde trzymało jakąś zabawkę. Przez szczelinę w płocie obserwował je dłuższy czas. Naraz obraz ten zmatowiał. Z oczu popłynęły mu łzy, sam nie wiedział dlaczego. Czuł tylko, że bardzo go boli serce z powodu świętego Mikołaja. Wycierał palcami zasmarkany nos i końcem koszuli tarł mokre oczy. Usiadł wreszcie pod płotem, wsparł się o tyczki bambusowe.

— Ach, ta trawa!

Zaczął ją rwać ze złości całymi kępami. Co pewien czas unosił rękę do nosa, leciała z niego woda, rozmazywał ją po twarzy wraz z ziemią. Podniósł się i powędrował wokół ćwierkało ptactwo. Niebo było koloru intensywnego szafiru. Nie widział tego. Szedł po trawie wilgotnej od porannej rosy. Zrobiło mu się zimno. Co tam! Załował teraz, że wypuścił ptaka. Mógłby go ścisnąć mocno i zadusić w dowód bezsilności wobec olbrzymiego, straszliwie obojętnego świata. Spojrzał w kierunku mającących w dali szczytów górskich. Potem przeniósł wzrok na zarośla bambusowe i kupę śmieci. Na śmieciach leżały buczki.

Nie wierzył własnym oczom. Pochylił się i porwał skarb, obawiając się, że ktoś go może ubiec. Buciki były stare i brudne, ale nie miało to znaczenia. Buciki! Oglądał je z czułością. Myśl jego pracowała.

— Jutro, kiedy święty Mikołaj będzie wracał zobaczy buciki na oknie, zabierze je i postawi inne — nowiutkie i błyszczące. Takie same, jak nosi pan sędzia. A wszyscy pomyślą, że jestem bogaty.

Pobiegł szybko do domu. Okno wydało mu się inne, niż zazwyczaj. Co chwila podchodził do niego i przyglądał mu się z zainteresowaniem. Tutaj przyjdzie święty Mikołaj.

Dzień dłużył się jak nigdy.

— Mamo, jak wygląda święty Mikołaj?

— Ach, synku, święty Mikołaj to staruszek, ale sympatyczny i miły. Na plecach dźwiga wór wypełniony upominkami. Już z daleka słychać dzwonek jego koni.

— Mamo, a czy on jeździ sankami zaprzężonymi w jelenie?

— Nie zawsze, tylko w krajach, w których pada śnieg.

I dodała:

— Idź się bawić.

Nadeszła wreszcie noc. Chłopiec położył się na macie, na podłodze. Skubał dziurawy koc, przewracał się z boku na bok, nie mógł jakoś ułożyć się w legowisku. Wreszcie się uspokoił. Wodził wzrokiem po kuchni. Była czarna od dymu, ogień palił się w piecu, matka dorzucała gałęzie. Obok na ścianie świeciła groszowa lampka naftowa. Niedaleko stał stół zastawiony talerzami i garnkami, sagan czarny i brudny, a nieco z boku szafka z prostych desek, gdzie co noc karaluchy urządziły spacer.

Matka miała na sobie podartą sukienkę, kasiała.

Chłopiec westchnął i zapytał:

— Mamo, jak ma przyjść święty Mikołaj to wieje?

— Bardzo wieje.

— Jak teraz?

— Jak teraz.

— To ja poczekam na świętego Mikołaja.

Kobiecie zrobiło się przykro.

— Nie masz na co czekać — powiedziała. — On nie przyjdzie.

— Dlaczego? Przecież wieje.

I dodał:

— Nie może ominąć naszego domu. Mam buciki.

— Nie przyjdzie. Zjawia się tylko raz do roku, a był przecież wczoraj.

Chłopiec uniósł się na posłaniu i zawołał z rozpaczą:

— Mówię ci, że przyjdzie! Tylko ty sobie tego nie życzysz, mamo.

— Nie dlatego wcale, że nie chcę...

Głos jej się załamał i lzy potoczyły z oczu. Nie stać ją było na upominek dla dziecka, co na to mogła poradzić?

Chłopiec domyślił się, że sprawił matce przykrość.

— Nie płacz, mamo. Kiedy przyjdzie święty Mikołaj gotów jeszcze pomyśleć, że zrobiłem ci coś złego. Przestań, nie płacz już.

Matka objęła chłopca, przytuliła mocno do siebie.
— Śpij, jutro wytłumaczę ci wszystko. A świętego Mikołaja nie wyglądam, nie przyjdzie.

— Jestem pewien, że przyjdzie. Mam przecież bućki. Chcesz je może zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź zerwał się i pobiegł na dwór. Wrócił po chwili ze skaleczoną stopą, nie zauważył nawet tego.

— Widzisz jakie wspaniałe bućki? Popatrz tylko...

— Widzę, ale niepotrzebnie się łudzisz. Święty Mikołaj nie przyjdzie.

— Och, mam, teraz wiem, że nie chcesz, żeby przyszedł.

Położył się na barłogu i rozszlochał. Matka usiadła obok, gładziła go po głowie.

— Myślisz może — powiedział, — że płacę przez świętego Mikołaja? Płacę, bo noga mnie boli.

Zgodził się na opatrunek.

Zimno mu było. Mata uwierała w bok, twarda poduszka w głowę, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Położył koło siebie bućki. Od chrustu palącego się w piecu lśniły czerwono. Wpatrzył się w nie. Zdawało mu się, że podskakują, jak baletnice w tańcu.

Przełożył z portugalskiego:

Jan Krawczyk

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES
E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Para leitores da revista "SKARPA" 10% de desconto

Rua Libero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413 S A O P A U L O

KONKURY NA FAZENDZIE

— Czas już, żebyś się ustatkował — powiedziała senhora Silvia. — Dosyć się naobijałeś. Konie i walka kogutów — nic cię więcej nie obchodzi. Potrzebujesz dobrej żony, przykróci ci cugli. Znalazłam taką: panna porządna, posażna, z dobrego domu, a przede wszystkim wykształcona. Skończyła nawet gimnazjum.

Mario spojrzął na swoją piękną mamę i podrapał się w głowę. Miał zaledwie dwadzieścia lat i wcale mu się nie spieszyło do żeniaczki. Najlepiej czuł się w kampie wśród pastuchów i bydła. Lubił churrasco, szimaron i słone dowcipy. Kiedy potrzebował kobiety brał pierwszą lepszą dziewczynę uliczną. Piętnaście minut miłości — to mu wystarczało.

— Naprawdę skończyła gimnazjum?

Nie mógł w to uwierzyć. Co do niego to przerwał edukację w drugiej klasie szkoły podstawowej. Umiał czytać, rachować, w razie potrzeby przepisać list miłosny z "Poradnika dla zakochanych". Uważał, że nauka nie przynosi korzyści. Dawniej ludzie byli nieuczeni, a lepiej im się wiodło. Dziś co drugi facet to doktor, a cały jego majątek to dwie koszule — jedna na grzbiecie, a drugą pierze z rana, żeby wieczorem uprasować.

— Głupie pytanie — powiedziała dona Silvia. — Skoro to mówiłam to widocznie prawda. Przestań się na mnie gapić, proszę cię bardzo i przebierz się w wizytowe ubranie, bo za godzinę jedziemy. Nie możesz przecież pokazać się w przyzwoitym domu w tych bombaszach.

— Zrobię to, mammo, — przytaknął. — Ale wolałbym nie jechać.

Roześmiała się pogardliwie. Nie nalegał. Wiedział, że to bezużyteczne. W tym domu jedynie ona rządziła. Ojciec się nie liczył.

Poszedł do swojego pokoju. Zaczął z wściekłością ściągać buty i spodnie. Buty poleciały w jeden kąt, spodnie w drugi. Otworzył szafę, wyjmował garnitur po garniturze i rzucał na podłogę. Wybrał wreszcie ciemnoszare ubranie. Nie leżało na nim najlepiej. Wciąż jeszcze rósł, a ono było szyte rok temu. Najgorzej poszło z krawatem: nie umiał go zawiązać. Musiał z tym iść do mamy.

Wreszcie był gotów. Osiodłał swego India, dona Silvia wsiała na burra. Ojciec wyszedł na ganek. Wyglądał żałośnie, sta-

ry, o twarzy gąbczastej, źle ogolonej. Mario pomyślał, że musiał już gołnąć szkiankę kaszasy, albo dwie. Matka była od niego o trzydzieści lat młodsza. "Jak można się żenić z taką młodą dziewczyną. Przecież to idiotyzm".

— Może jednak zabierzecie mnie z sobą?

Machnęła ręką.

— Nie rzuca się dwa razy łąsa na jedną krowę. Obejdzie się bez ciebie. Bądź zdrow!

Do fazendy Valadaresów, gdzie jechali, było dwanaście legw. Słońce paliło porządnie, Maria uwierała w szyję kołnierzyk. Niech to wszyscy diabli! W dodatku nie znosił Valadaresów. Ona była przesłodzona, są takie kobiety: w gębie miód, a co sobie tam myśli nikt nie wie, taksuje człowieka jak konia. Stary był znowu kutwa i pies na dziwki. Panny Mario nie znał, kształciła się w zakonnice w Pelotas. No, widział ją kilka razy, jeszcze jako podlotka, o długich rękach i długich nogach. Twarzy nie mógł sobie przypomnieć. Na imię miała Beatriz. Imię nienajgorsze, ale jak z urodą? Kto to wie. Za to gospodarstwo!... to było prima. Równie pięknego ryżu nie widziało się w całym municypium, a bydło, a konie!... Już to trzeba przyznać, że stary Valadares znał się na rolnictwie. I Beatriz była jedynaczką. I mógłby urządzić się jak chce i nie musiałby wysłuchiwać uwag mamy i oglądać co dzieje ojca, bo miał dość jego widoku.

Myślał właśnie o tym, gdy ukazał się dom Valadaresów ciężki i brzydki, jak wszystkie domy w stylu kolonialnym.

Czekano na nich. Valadares przywitał się wylewnie. Duży chłop o twarzy brązowej, pooranej drobnymi zmaszczkami, związszcza koło oczu, o małych wąsikach, wcale jeszcze nie stary. Czerwonymi łapskami przytrzymał nieco może za długo drobną dłoń dony Silwii z tą galanterią i pewnością siebie, która cechuje mężczyzn mających powodzenie u kobiet. A mama przyjmowała łaskawie te wyrazy hołdu.

Dona Lucia, wysuszona, o wylupiastych oczach, haczykowatym nosie i cerze jak u wyskubanej gęsi ścisłała serdecznie mamę i mama była dla niej cholernie miła, chociaż Mario wiedział, że nie cierpi pani Valadares.

Przyjęto ich w salonie, przeładowanym ciężkimi meblami o wypłowiałych obiciach. W niszy stała figura świętego Anto-^{le}go, rzeźbiona w drzewie, pomalowana niegdyś jaskrawo, ale teraz farby i złocenia pociemniały, nabrały patyny. Przed świętym Antonim, na stolczku, leżała srebrna moneta z czasów dobrego cesarza Pedro II-iego i rączka zaciśnięta w figurę. Znajdowały się tam ponadto dwa świeczniki i bukiet sztucznych róż.

Dona Lucia zwracała często pobożne spojrzenia w kierunku świętego. Usta się jej przy tym nie zamykały. Do rozmowy dotyczącej się miejscowych nowinek towarzyskich Mario się nie wtrącał. Tylko dwa razy na zadane bezpośrednio pytania odpowiedział: "tak" i dwa razy: "não, Senhora". Uciskał go kołnierzyk i krawat. Bezwiednie sięgał ręką do szyi. Ale nie mógł przecież zdjąć tego przekletego krawata.

Zjawiła się wreszcie Beatriz. Była w obcisłej, różowej sukience. Mario przyjrzał się łakomie pełnym piersiom, które mało nie wyskoczyły zza gorsu.

Powiedziała, że wróciła przed chwilą z przejażdżki konnej, co nie wydawało się prawdą. Kunsztowna fryzura, podmalowa-

ne oczy — wyraźnie temu przeczyły. Ale dla Maria stanowiło to wymarzoną sposobność do popisania się znajomością koni. Była to zresztą jedyna rzecz, na której się naprawdę znał.

— Czy lubi pani konie? Bo ja za nimi przepadam. Miałem niecałe sześć lat kiedy po raz pierwszy dosiadłem wierzchowca i oczywiście zleciałem od razu, potłukłem tyłek i przez cały tydzień nie tylko nie mogłem siedzieć, ale i leżeć.

Na dźwięk tego brzydkiego wyrazu dona Lucia zrobiła wielkie oczy, ale Beatriz roześmiała się. Dodało to chłopakowi odwagi, brnął dalej. Jął się rozwodzić nad wadami i zaletami koni wierzchowych, racjonalnym ich karmieniem i pielęgnowaniem. W końcu dodał, że chociaż się tego nie uczył potrafi leczyć konie nie gorzej, niż najlepszy weterynarz, puszczać im krew, wycinać żołąć i robić lewatywę.

Nawet Valadares, który znał się na hodowli i umiał ocenić wiedzę przyszłego zięcia uznał, iż należy przerwać wywody na ten temat, obawiając się słusznie, że Mario zacznie mówić o sposobach walaszenia ogierów. Dał więc znak, aby przenieść się do jadalni.

Na widok stołu zastawionego smakołykami Mario zamilkł. Był głodny, a w ogóle lubił wypić i zjeść. Przystąpił od razu do szturmowania, jadł, aż mu się uszy trzęsły i nie bardzo zważał na paplanie Beatriz, prawiającej o muzyce, teatrze i literaturze.

“Kiedy się ożenię — myślał — zabronię gadać podczas posiłków. Nie można przełknąć spokojnie kęsa strawy”.

— Co pan sądzi o Jorge Amado? — pytała niezrażona jego milczeniem Beatriz.

— Wie pani — odparł — nie wyznaję się na tym. Czytanie nie jest, moim zdaniem, stosownym zajęciem dla mężczyzny. Zamiast ślezczyć nad książką lepiej jechać w step.

— Ale ma pan przecież jakieś zainteresowania?

— Nie wiem, nie wiem... — powiedział, ssąc wykałaczkę. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Chodźmy. Pokażę panu park.

— Czemu nie? Po dobrym obiedzie spacer nie zawadzi. Robi to dobrze na trawienie.

Poszli. Park był duży, urządzone z pewnym smakiem. Pełno tam było kwietników, stawów, mostków. Beatriz zerwała pąsową różę, wpięła ją sobie we włosy. Bardzo jej z tą różą było do twarzy. Miała mały, trochę może za szeroki nosek, a na prawym policzku znamię, takie znamię co to zdobi kobietę póki młoda, o którym zakochaany młodzieniec mówi: “Ach, jaki śliczny pieprzyk!”, a który później po pięćdziesiątce pokrywa się długimi, sterczącymi jak igły, rudymi włosami.

Mario miał właśnie powiedzieć pannie coś miłego, kiedy przyplątał się do niego czarny pudełek. Zasadniczo przepadał za psami, ale takich małych piesków nie znosił: ani się to nadaje do polowania, ani do pilnowania domu. Kopnął go więc nieznanie, a pies narobił wrzasku, jakby go zarzynano.

— Biedny piesek — powiedziała dziewczyna — niedobry pan go kopnął.

Mario zmieszał się, zaczął się tłumaczyć.

— Bardzo przepraszam — powiedział — nie chciałem mu zrobić krzywdy. Nie spostrzegłem jak to gówienko wpadło mi pod nogi.

Beatriz zaczerwieniła się, wzięła pudełka na rękę i pobiegła do domu.

Patrzył jak oddalała się, skrobiąc się w głowę. Co się stało? Czy popełnił jakiś błąd? Ale przecież zachował się grzecznie, ani nie porywając się do całowania, ani do ściskania, na co zresztą miał wielką ochotę. Najgorzej z uczonymi dziewczynami, nigdy nie wiadomo kiedy się takiej nadeptnie na odcisk.

Był zgnębiony, miał dosyć wszystkiego. Dałby nie wiem ile, żeby znaleźć się w tej chwili w kampie w towarzystwie pastuchów przy wesoło płonącym ognisku. Idąc ścinał trzymanym w rękę patykiem główki kwiatów. Nagle wydało mu się, że słyszy jakieś głosy. Wlaź w krzaki, rozgarnął po cichu gałązki.

W altanie, przytuleni do siebie, siedzieli dona Sylwia i Valadares. Valadares całował mamę i Boże drogi, czy to możliwe? Mama i Valadares? Wycofał się prędko, starając się nie robić hałasu. Chyba go nie zauważyli. Ale Valadares? Ale mama?

Powałęsał się jeszcze trochę po parku, potem zaszedł do stajni. Tam na rozmowie z chłopcem stajennym zastała go po dobrej godzinie dona Sylwia.

Zegnał ich tylko Valadares. Dona Lucia, ani Beatriz nie pokazały się. W drodze powrotnej mama milczała.

Raz tylko powiedziała:

— Nie chce mi się z tobą mówić. Jesteś osioł, kubek w kubek wdałeś się w papę.

“O, — pomysiał — nie jestem taki głupi jak ci się wydaje!”
I po raz pierwszy zrobiło mu się żal ojca.

Sebastian Arhens

Dr Stanisław Bundyra

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Członek Związku Adwokatów Brazylii.

Załatwia wszelkie sprawy sądowe: cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp.

BIURO: Rua Senador Feijó, 29 — 4 p. s. 417

(obok Katedry) Tel.: 35-6521

PRZYJMUJE OD GODZ. 14 do 19

NIEDALEKO RÓWNIKA

POWIEŚĆ KRYMINALNA

1.

Willy Ewans, siedząc wygodnie w leżaku, wsłuchiwał się, przymknawszy oczy, w jednostajny szum maszyn okrętowych. Nie myślał właściwie o niczym. W istocie dawał zupełną swobodę zmysłom: pozwalał im patrzeć, słuchać i czuć. Niezbyt rażące słońce piekło go w twarz i obnażone ręce. Spokój! Potrzebował przede wszystkim spokoju.

— Ach, jesteś tutaj, Willy! — powiedziała Claire Fuld. — Przepuszczalam, że śpisz w swojej kajucie.

Otworzył oczy i przyjrzał się jej leniwie.

— Nie, skądże, zbyt ładna pogoda.

Przystawiła leżak do jego leżaka. Poczuił delikatny zapach jej perfum i potu. Znowu przymknął oczy.

— Czy wiesz co sobie przypomniałam? — powiedziała. — Osiem lat temu pewna nieśmiała dziewczyna z Arizony...

— Osiem lat temu?... — powtórzył. — A więc to dziś wypada rocznica twojego wstąpienia do firmy? Zupełnie o tym nie pamiętałem. Musimy to wydarzenie uczcić butelką szampana.

— Nie sądziłam, że będziesz pamiętać. Ostatecznie to tylko w moim życiu zaczęła się od owego dnia określona epoka. Pomyśleć, miałam wówczas osiemnaście lat, a jest to wiek, kiedy wydaje się, że cały świat stoi przed nami otworem i wszystkie najgłupsze marzenia muszą się spełnić.

Uśmiechnęła się i uśmiech ten był pełen rezygnacji.

Po raz pierwszy spostrzegł, że poza maską układności i pogody, którą nosiła na co dzień, kryje się smutek. To go zastanowiło. Co jej mogło brakować do licha? Pozycja, którą zajmowała w biurze Ewans i Burton, była doskonała. Nie zarabiała zapewne tyle ile gwiazda filmowa, ale należała do najlepiej płatnych

sekretarek nowojorskich. I zawsze, gdy doprowadzał do końca jakąś większą sprawę, przyznawał Claire gratyfikację. Zasługiwała na to, oczywiście. Nieraz łąpał się na myśli, że Claire nie jest gorszym detektywem, niż on lub Burton. W takiej np. aferze systematycznych kradzieży w domu towarowym Claytona ona pierwsza wpadła na trop gangu młodzieżowego. Albo rola, którą odegrała przy wykryciu morderstwa na 27 ulicy...

Spod wpeł przymkniętych oczu przypatrzył się jej uważnie. Miała krótki, trochę zadarty nos, miękki podbródek, ciemną brew, zapewne pomalowaną, ponieważ była ruda o owym rzadkim odcieniu brązu, spotykanym na obrazach Tycjana. I w ogóle była czarującą osobką, na której zatrzymywał się z przyjemnością wzrok mężczyzn, a nawet kobiet. Ale on tego nie widział; dla niego była tylko urzędniczką.

Kiedy tak siedzieli obok siebie można by ich wziąć za dobraną parę małżeńską. Ewans — szczupły, o drapieżnym wyrazie twarzy, którą łągodziły szare, dobre oczy; pochylony, jak to się często zdarza wysokim ludziom, o skroniach przedwcześnie posiwiałych, sprawiał wrażenie męża opiekującego się troskliwie młodą żoną. W gruncie rzeczy było odwrotnie — to ona się nim opiekowała.

Gdy Ewans wyjawiał współnikowi chęć wyjazdu na urlop Burton poparł gorąco ten projekt. W ostatnich czasach Willy pracował bowiem bardzo intensywnie wskutek czego wydawał się przemęczony i wyczerpany nerwowo.

Obcinając cygaro Burton, wyglądający jak na detektywa zbyt może jowialnie, powiedział ojcowskim tonem:

— Mamy martwy sezon. Lipiec nie sprzyja przestępczości — za gorąco — bandyci to też ludzie. Piękne kobiety wyjechały z miasta i zazdrośni mężowie nie mają potrzeby pilnowania ich cnoty, przynajmniej tu — w Nowym Jorku. Bardzo dobry czas wybrałeś na urlop, Willy...

Ewans mruknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

— Jeżeli jednak chcesz posłuchać dobrej rady — zabierz ze sobą Claire.

— A to po co? Czy, twoim zdaniem, nie mogę się obeiść bez niańki? Łaknę samotności, człowieku! Jestem... całkowicie na wykończeniu. Nie zwracaj mi głowy Claire.

Burton położył mu dłoń na kolanie.

— Posłuchaj, ludzie znanadto cię znają. Reporterzy nie dadzą ci spokoju.

— Przesada. Zresztą pojedę incognito.

— Nic z tego. Chyba, żebyś się ucharakteryzował, a to na dłuższą metę nie jest wygodne. Tylko Claire potrafi cię uwolnić od natrętów.

— Ale...

— Wiesz chyba co to za dziewczyna? Brylant. Nie będzie ci się narzucać, jest dyskretna i zdyscyplinowana. Zresztą jej także należy się wypoczynek. Proszę cię, Willy, nie odrzucaj mojej propozycji.

Ewans podniósł się, potem usiadł. Był wściekły.

— Nie jestem w stanie sprzeczać się z tobą, Bill. Nie mam nerwów. Nie łatwo cię zresztą odwieść od powziętego postanowienia. Dobrze, wezmę ze sobą, Claire. I niech cię wszyscy diabli, daj mi w końcu spokój!...

Z panną Fuld poszło Burtonowi znacznie łatwiej. Zgodziła się od razu.

— Chodzi o to — powiedział — panno Fuld, żeby otoczyć Ewansa opieką. On jest — chrząknął z zakłopotaniem — on jest... wie pani o tym dobrze, cokolwiek romantyczny. Zależy mi na tym, żeby żadna z tych malowanych lal nie wkradła się do jego serca i... kieszeni.

2.

— Nigdy nie myślałem, — powiedział Ewans — że jesteś sentymentalna. Ale teraz wiem... Nie różnisz się wcale od innych dziewcząt amerykańskich. Serce cię boli, że nie wyszłaś dotychczas za mąż, nie masz dzieci i własnego gospodarstwa. I jeżeli dobrze zrozumiałem firma Ewans i Burton ma z tym coś wspólnego. Przez mnie i przez Billa straciłaś jedyną szansę w życiu.

— A ja nigdy nie myślałam, że potrafisz być taki złośliwy — zawołała — taki głupio złośliwy. To twoja irlandzka krew. Mogę cię zapewnić, że nie wszystkie dziewczęta amerykańskie marzą od dzieciństwa o złapaniu bogatego męża, chociaż są i takie. Mój ojciec jest zwykłym fermerem i nie skończył nawet szkoły powszechnej, ale należymy do dobrej rodziny pionierskiej i mamy swój honor.

Ostatnie słowa wypowiedziała podniesionym głosem.

— Mała sprzeczka małżeńska?

Szczupły marynarz, balansując na długich nogach, gdyż wiatr się właśnie wzmógł i trochę kiwało, przypatrywał się im z uśmiechem.

— Nie jesteśmy na szczęście małżeństwem — oświadczyła sucho Claire. — Ewans nie nadaje się na męża, panie poruczniku Brown.

— Jest pani tego pewna? To samo twierdziła moja Nancy zanim mnie uszczęśliwiła oddając rękę i resztę osoby.

Ale Claire nie miała tego dnia usposobienia do żartów.

— Zostawię panów samych.

Gdy wstała drugi oficer przypatrywał się jej chwilę z podziwem, po czym gwizdnął. To ją rozbroiło.

Roześmiała się.

— Przy takiej kobiecie zapomniałem po co tu przyszedłem. Panie Ewans, kapitan pana prosi.

Ewans wzruszył ramionami.

— Nie wie pan o co mu chodzi?

— Pojęcia nie mam. Powiedział tylko, żebym pana szybko poszukał.

— Doprawdy — mruknął Ewans — nawet tu nie ma spokoju.

Podniósł się niechętnie i mrużąc oczy — jaskrawy blask słoneczny zalewał pokład — dodał:

— Pójdźcie pani ze mną, Claire.

Kapitan "Pensylwanii" był mężczyzną w sile wieku. Mógł mieć lat 46 - 48 i miał twarz opaloną na czerwoną. Przy tej opa-

lenizmie, charakterystycznej dla blondynów, niebieskie jego, oczy wydawały się większe, niż w rzeczywistości.

Zajmował kajutę obszerną, lecz skromnie umeblowaną. Wielki sekstans zdobił ścianę. Na tej samej ścianie opodal wisiał portret pulchnej blondynki, jeszcze nie starej o cukierkowym wyglądzie. Takich blondynek, ładnych, jakby wybitych spod sztampy, widuje się na Broadwayu tysiące. Dama była uśmiechnięta melancholijnie. Zdawało się, że za chwilę wyciągnie chusteczkę i zacznie nią powiewać na pożegnanie. Prawdziwa żona marynarza.

Ewans zauważył, że kapitan Wilkinson, zawsze pogodny, ma tym razem wyraz troski na twarzy.

— Czym mogę służyć, panie kapitanie?

Kapitan chrząknął, zadzwonił na stewarda, kazał podać szklanki do whisky i lód.

Nalewając whisky powiedział:

— Zaraz tu przyjdzie Snakers.

Ewans nie wiedział kim jest Snakers i mało go to obchodziło. W kajucie brzęczał wentylator. Oboje z Claire zachowywali milczenie. Rozległo się pukanie i po chwili ukazał się w progu nieduży oficer, zezowaty, o czarnym wąsiku i dużych odstających uszach. Zdawało się, że te uszy, jak u ludzi pierwotnych poruszają się w kierunku źródła dźwięków. Nawet bez wyjaśnienia kapitana można się było domyśleć, że właściciel uszu pełni funkcje oficera radiowego.

— Snakers, — powiedział przyciszonym, z lekka nadtrząśniętym głosem.

— Snakers, do usług.

W całym jego zachowaniu znać było uniżoność.

Kapitan wskazał mu ruchem ręki wolne krzesło, ale oficer nie siadał tylko chwając się przestępował z nogi na nogę ślizgał się przy tym wzrokiem po twarzach Claire i Ewansa, jakby je obmacując. Nie było to przyjemne.

— Proszę nam opowiedzieć, Snakers, to wydarzenie. Ten pan to Ewans, słynny nowojorski detektyw, słyszał pan chyba o nim, a to sekretarka Ewansa panna Fuld.

— Tak jest, sir. Rozumie się, że słyszałem o panu Ewansie. To bardzo wielki zaszczyt dla mnie, że mogłem poznać pana, panie Ewans. Czy mam zacząć od początku?

— Jak najbardziej.

— A więc... Nocne wachty są bardzo przykre, przynajmniej ja tak uważam. Człowiek w najlepsze śpi i musi wstawać. To jest przeciwne naturze, panie Ewans, i myślę, że z tego powodu choruję od dłuższego czasu na żołądek. Tak też było dzisiejszej nocy. Obudziłem się z bólem brzucha. A propos, niektórzy twierdzą, że niezły żołądek ma podkład nerwowy. Co pan o tym sądzi, panie Ewans?

— Nie mam pod tym względem wyrobionego zdania. Ale wydaje mi się, że mieliśmy mówić na inny temat i obawiam się, że tracimy niepotrzebnie czas.

— Stokrotnie przepraszam. Widzi pan łudzę się, że jakaś nowopoznana osoba zna skuteczny lek na moją chorobę. Niekiedy zupełnie przypadkowo...

— Tak, ale...

— A więc nie czułem się dzisiejszej nocy dobrze. I praca nie

potrafiła mnie oderwać od ponurych myśli. Bo od nieżytu do wrzodu żołądka tylko jeden krok, a potem to już operacja, a operacja związana jest z niebezpieczeństwem. Ci chirurdzy to gorzej, niż rzeźnicy. Tak jest, sir, przystępuję do rzeczy. Z początku na moim dyżurze nie działało się nic nadzwyczajnego. Przyjąłem komunikat meteorologiczny, jedno zlecenie od armatora i kilka telegramów prywatnych. Nagle... Była właśnie godzina 2-ga, gdy otworzyły się gwałtownie drzwi i wszedł szef kuchni. To bardzo porządny człowiek, panie Ewans, i nigdy o mnie nie zapomina. Wiedząc jak cierpię przyniósł lampkę koniaku. Koniak jest niezawodny przy katarze żołądka naturalnie jako środek uśmierzający bóle.

— Tak, ale...

— Już, sir. Zaledwie wyszedł szef kuchni drzwi odemknęły się znowu, tym razem po cichu, i...

— Zobaczył pan ducha...

— Niezupełnie. Gość był średniego wzrostu, szeroki w ramionach. Rysów twarzy nie mogłem rozpoznać: nosił maskę. Ja...

Snakers rozejrzał się niespokojnie, jakby obawiając się, że scena o której opowiadał, może się powtórzyć.

— ... Ja oniemiałem. Upewniam pana, panie Ewans, że nie należę do ludzi bojaźliwych, ale to nic przyjemnego kiedy poczuje się niespodziewanie dotknięcie lufy do skroni.

Nieznałomy wyciągnął z kieszeni kartkę zapisaną do połowy i powiedział:

“Nada pan to natychmiast na fali 355 i pół kilocykla.”

— Co zawierał telegram? — zapytał Ewans.

— Nie wiem. Całość podana była kodem.

— I co dalej?

— Dalej wszystko odbyło się normalnie, jak w filmach kryminalnych. Drżąc z wrażeń nadałem telegram...

— Zaraz, zaraz... Przecież musiał pan wywołać stację odbiorczą i ktoś się odezwał...

— Rzeczywiście, sir. Usłyszałem kobiecy głos.

— Jaki głos?

— Kobiecy. Mnie to też zdziwiło. I ten głos powiedział: “Tu NIE DALEKO RÓWNIKA, tu NIE DALEKO RÓWNIKA”. Odparłem: “Tu PENSYLWANIA, tu PENSYLWANIA”. “Kto mówi?” Wtedy ten typ z rewolwerem, jakby słyszał o co tamta kobieta pytała, bo szepnął: “Powiedz pan, że Peter”. “Peter” — powiedziałem. “Oh, key, możesz nadawać”. Przeszedłem wtedy z fonii na Morse’a i...

— Po nadaniu telegramu bandyta zakneblował panu usta i przywiązał do krzesła.

— Skąd pan wie? To diabelnie niewygodna pozycja, panie Ewans, zwłaszcza dla człowieka chorego na żołądek. Zostałem uwolniony dopiero w dwie godziny później przez moją następcę.

— Czy przypomina pan sobie jak był ubrany napastnik?

— Oczywiście. Zaraz... Miał na sobie szary, wytworny garnitur w kratkę. Zaraz... Może się myłę. Zdaje się, że garnitur był niebieski, ciemno-niebieski, w prążki. Wie pan w takiej sytuacji nie zwraca się uwagi jak kto był ubrany.

— Dziękuję, panie Snakers. To wszystko.

Oficer radiowy spojrzał niepewnie na Ewansa, a potem na kapitana.

— A zatem nie jestem już potrzebny?

— Nie, panie Snakers. Może pan odejść.

— Tak jest, sir.

Claire gotowa była przysiąc, że lewe ucho Snakersa podniosło się do góry i następnie opadło.

— Dziwny facet... — zauważył Ewans, gdy drzwi za oficerem radiowym się zamknęły.

Kapitan Wilkinson jakby nie słyszał tych słów. Zapalając fajkę mruknął:

— Bardzo mnie to wydarzenie niepokoi.

— Przyznaję, że nie wszystko tu jest w porządku — odparł detektyw. — Ale nie widzę powodu do niepokoju.

— Gdyby pan wiedział...

Ewans wyczuł wahanie w głosie kapitana i nagle sprawa tajemniczego telegramu zaczęła go interesować.

— Trudno mi powiedzieć — ciągnął kapitan. — Dotyczy to w pewnej mierze interesów linii okrętowej i nie chciałbym zaszkodzić jej reputacji.

— Znajduję się na urlopie — powiedział Ewans. — Dałem sobie słowo, że choćby mnie proszono o prowadzenie najbardziej frapującego dochodzenia — odmówię. Potrzebuję bowiem przede wszystkim spokoju. Ale jestem jako pies gończy. Gdy poczuję zwierzyńcę zapominam o rozsądnych postanowieniach. Założmy więc, mówię to nieobowiązująco, że zajmę się tą sprawą, rozumie się — odpłatnie...

— Linia okrętowa nie poskąpi wynagrodzenia. Uzgodnię to telegraficznie.

— Jest jednak jeden warunek, od którego nie mogę odstąpić: muszę znać wszystkie istotne szczegóły sprawy. Ani pan, ani kompania nie mają prawa ukryć przede mną niczego.

— Czy mogę panu dolać whisky, panie Ewans? I dodać trochę lodu? Woli pan wodę sodową? Oh, key. No, cóż muszę się zgodzić na pański warunek, z tym wszakże...

— O, to nie ulega wątpliwości! Może pan liczyć na całkowitą dyskrecję zarówno moją, jak i panny Fuld. Dyskrecja należy do naszych zawodowych obowiązków.

Kapitan wstał, spojrzał na sekstans, jakby szukając tam natchnienia, po czym, westchnąwszy, powiedział:

— Zdarzenie ubiegłej nocy nie jest bynajmniej odosobnionym zjawiskiem na "Pensylwanii". W czasie ostatniego rejsu...

3.

Wieczorem tegoż dnia miał się odbyć na statku wielki bal maskowy. Claire wiozła na tę okazję kostium meksykański. Wyglądała w nim prześlicznie, chociaż nie bardzo typowo. Nie odznaczała się bowiem, ani ciemną cerą, ani też czarnymi włosami.

Ciekawa była jakie wrażenie wywrze w tym kostiumie na Ewansie. Rozczarowała się jednak, gdyż detektyw nie wykazał

wielkiego entuzjazmu. Ograniczył się do zdawkowych komplementów, co zepsuło jej humor. Jasne, że jako szef **nie mógł w niej widzieć kobiety**, było by to niej na miejscu, ale jednak całkowita niemal obojętność zakrawała na nieprzyzwoitość, co najmniej zaś na brak taktu.

Na górze, w salonach I klasy, orkiestra grała już pierwsze tango. Tancerzy było jeszcze niewiele. Wśród pań brylowała Mary Lancaster, żona bogatego bankiera z Chicago, ubrana w suknię z białej tafty w stylu Madame Pompadour, z wielkim dekoltem odsłaniającym pół piersi. Można ją było poznać na pierwszy rzut oka mimo, iż nosiła maskę. Asystował jej pirat w pąsowej chustce na głowie o jednym oku przewiązanym opaską. Na czerwonej z natury twarzy miał wymalowaną dużą fioletową szramę.

Claire nie znosiła Mary Lancaster, chociaż milionerka przy każdej okazji starała się jej okazać sympatię. Było w tym niewątpliwie wiele z purytańskiej nietolerancji. Wychowana w rodzinie kwakerskiej Claire nie mogła wybaczyć Mary Lancaster jej pięciu mężów i niestosownego zachowania się w towarzystwie. Zdaniem panny Fuld kobieta nie powinna się upijać, a następnie tańczyć solo w ten sposób, że suknią fruwa na wysokości pasa, odsłaniając uda i deessous. Poza tym nie powinna całować się publicznie z osobami, które poznała przed godziną.

Może też, podświadomie, Claire zazdrościła milionerce powodzenia u mężczyzn. To ostatnie wynikało nie tyle z kokieterii doprowadzonej do mistrzostwa ile z osobistego czaru i nieprzeciętnej urody pani Lancaster, jasnej, prawie platynowej blondynki o delikatnych jakby rzeźbionych rysach i klasycznej budowie ciała. Co jednak najwięcej zadziwiała u Mary Lancaster to wielkie oczy fiołkowej barwy i małe, pełne usta, jak stworzone do całowania. Reporter "Life'u" zauważył kiedyś na łamach tego szacowanego pisma, że Mary Lancaster tak ze względu na walory cielesne, jak i zalety charakteru ("słodki!") mogłaby zostać Miss Świata i każdy areopag sędziowski musiałby jej przyznać ten tytuł, gdyby była panną. Niestety, nie była już panną i to od dawna.

Ze swej strony Willy Ewans nie lubił chwilowego towarzysza pięknej pani owego grubego pirata o jeszcze grubszym portfelu. W Edgarze Mac Cormacku, właścicielu wielkiego towarzystwa ubezpieczeniowego, raziły go przede wszystkim brak wychowania i zbytnia pewność siebie.

"Myśli, że gdy ma pieniądze to wszystko mu już wolno".

Jednakże prawdziwym źródłem niechęci była zbytnia poufałość wykazywana przez Mac Cormacka w stosunku do pani Lancaster. W ciągu pięciu dni wspólnego pobytu na pokładzie "Pen-sylwanii" Ewans zdążył się zadurzyć po uszy w pięknej Mary i mógł się nawet, jak sądził, pochwalić pewnymi sukcesami w walce o jej względy. Mac Cormack stał mu na zawadzie.

— Są! — powiedziała Claire. — Przyśliśmy za wcześnie. Wycofajmy się na pokład.

Było już jednak za późno. Mary Lancaster spostrzegła ich.

— O, niech pani nie ucieka, panno Fuld. Prześlicznie pani w tej sukni. Gdzie kupiona?

Claire nie mogła się pohamować i odparła zgryźliwie:

— W magazynie uniwersalnym. Nie każdą kobietę stać na

krawcową. Może sobie na to pozwolić tylko Madame de Pompadour.

Mary Lancaster doskonale zrozumiała aluzję. Nie dała jednak tego poznać po sobie. Uśmiechnęła się lekko.

— Co to za Madame de Pompadour? — spytał Mac Cormack. — Nie znam tej pani.

— Nie żyje już — odparł poważnie Ewans. — Musiałbyś przeskoczyć dwa wieki, żeby ją znać. Była faworytą króla Ludwika XIV.

— Stara historia. To znaczy, że ten król miał ją w swojej stajni? Jak to miło jednak pomyśleć, że minęły tamte niemoralne czasy. U nas w Ameryce panują na szczęście znacznie surowsze obyczaje. Prawda, Willy?

— O tak, na pewno.

— No, to chodźmy do baru na whisky. Zabawa się jeszcze nie zaczęła, a mnie zaschło w gardle. O ile wiem piraci byli zawsze naoliwieni.

W barze było pusto. Siedziało tam tylko dwóch młodych ludzi. Pili Martini. Jeden z nich, niewielki brunet o wschodnich rysach twarzy nosił w lewym uchu kolczyk. Ewans wiedział o nim tylko tyle, że jest to jakiś dygnitarz pakistański, zaufany doradca prezydenta Mohameda Ayub Chana. Drugi młodzieniec, ubrany w doskonale skrojony frak, nie odznaczał się niczym szczególnym. Tuzinkowo przystojny, o twarzy wyrażającej grzeczną obojętność, mógł być równie dobrze inżynierem, szulerem, przemysłowcem lub sutenerem. Podawał się za Anglika. Miał lat nie więcej, niż 26.

— A może i my napilibyśmy się Martini? — zaproponował pirat.

Nikt nie zaprotestował.

Mac Cormack zamówił więc cztery Martini ("Ale z wiśnią, nie znoszę oliwek!") i paczkę panierosów.

— A teraz mała niespodzianka — powiedział, wyciągając z kieszeni pistolet. — Ręce do góry!

Szczękniętą spust, nad lufą ukazał się płomień. Pistolet był szczególnego kształtu zapalniczką.

— Napędziłem wam strachu! — ryczał pirat, pokładając się ze śmiechu. — Kupiłem to cudo w Niemczech Zachodnich. Ach, ci Niemcy produkują wspaniałe rzeczy.

— Na pańskim miejscu nie byłbym taki lekkomyślny — powiedział sucho młodzieniec podający się za Anglika. — Mało brakowało, a wsadziłbym panu kilka pigulek w brzuch. Nie lubię głupich żartów.

Dopiero teraz Ewans zauważył rewolwer w rękę Anglika.

— Ocho, — mruknął — facet umie obchodzić się z bronią. Szybka orientacja i zapewne niezawodne oko.

— Pał licha ostrożność! — powiedział Mac Cormack, który na chwilę stropił się, ale wkrótce odzyskał pewność siebie. — Zawsze ryzykowałem i dzięki temu dorobiłem się majątku.

Anglik nie odpowiedział. Zamienił kilka słów z Pakistańczykiem w jakimś nieznanym języku i wkrótce obaj opuścili bar.

Po raz drugi tego wieczora Ewans doznał dziwnego wrażenia, gdy wmieszany w tłum rozbawionych pasażerów ujrzał nagle szczupłego, niedużego mężczyznę w niebieskim garniturze i w

czarnej masce. Zdawało mu się, że słyszy dzwonek alarmowy i z niezawodną pewnością pomyślał: "To ten! To napastnik ze stacji radiowej!" Chciał pobiec za mężczyzną, ale ten znikł równie szybko, jak się pojawił.

Wkrótce jednak Ewans zapomniał o owym zdarzeniu. Całą uwagę miał bowiem skoncentrowaną na Mary Lancaster. Tańczył z nią bez przerwy, odpierając zwycięsko ataki Mac Cormacka, który zrezygnował wreszcie, szukając pocieszenia w barze.

Po jednym z tańców Mary wzięła detektywa pod ramię i wyprowadziła z sali balowej.

— Strasznie tu duszno, — powiedziała — chodźmy na świeże powietrze.

Noc była pogodna, choć ciemna. Księżyc już zaszedł i w fałdach odbijały się miliardy gwiazd. Daleko na horyzoncie widać było światła jakiegoś statku. Dość silny wiatr rozwiewał suknię Mary Lancaster. Ewans ujął ją za rękę. Odpowiedziała lekkim uściskiem. Zapach jej ciała, rozgrzanego tańcem, i perfum działał na niego podniecająco.

Nie mówiła nic. On również zachowywał milczenie.

— Zmęczyłam się — powiedziała wreszcie. — Nie będę już chyba tańczyć, pójdę spać. Odprowadzi mnie pan?

Stropił się. Zrobiło mu się przykro i nie wiedział co odpowiedzieć. Zbyt wiele sobie obiecywał po dalszym ciągu wieczoru. Zamaskował zakłopotanie uśmiechem.

Szli przez długie korytarze nie spotykając nikogo.

— No, to dobranoc! — szepnęła. — Przyjemnie się z panem tańczyło.

Stał przed nią nieporadny, trochę śmieszny w swoim rozczarowaniu.

— Ach, — powiedziała, zmieniając nagle zdanie — proszę wejść na chwilę. Napijemy się koniaku.

Nie bardzo wierzył własnym uszom.

— Jeżeli nie przeszkadzam... — usprawiedliwił się dość głupio.

Nie słuchała co mówi. Otworzyła drzwi.

Apartament składał się z dwóch kabin. W pierwszej — mieścił się dość obszerny salon, utrzymany w niebieskim tonie, obicia, kurtyny, abażury lamp — wszystko niebieskie, umeblowany konwencjonalnie, ale kilka drobiazgów: wazon ze sztucznymi kwiatami, fotografia w złoczonej ramce, rękawiczki i szal rzucone na kanapę — nadawały piętno indywidualności bezosobowej atmosferze pokoju, typowo hotelowego i przesycały tę atmosferę klimatem intymności.

Ewans zwrócił uwagę na fotografię. Wyobrażała starszego mężczyznę, ubranego staromodnie, o twarzy okrągłej, dużych wąsach i włosach zaczesanych do góry, siedzącego na krześle ogrodowym. Fotograf nie znał zapewne swego fachu, gdyż ręce mężczyzny, spoczywające na kolanach i nazbyt wysunięte do przodu, wydawały się nieproporcjonalnie wielkie. Były to ręce żyłaste, spracowane, rolnika lub robotnika.

— Mój ojciec — powiedziała Mary Lancaster. — Straciłam matkę mając pięć lat i mało ją pamiętam. Ojciec mnie wychował i do niego byłam przywiązana. Gdy umarł bardzo to odczułam.

EWANS przeniósł wzrok z fotografii na piękną kobietę.

Nie, nie była wcale podobna do ojca. Mary wyczuła jego myśl.

— Nie jestem podobna zewnętrznie. Ale pod względem charakteru . .

Uśmiechnęła się.

— Pójdę się teraz przebrać. Nie potrwa to długo. Proszę się tymczasem rozgościć. Na stole leżą cygara. Lubię kiedy mężczyzna pali dobre cygare.

Ewans był wciąż jeszcze oszołomiony zaproszeniem Mary Lancaster. Nie śmiał snuć żadnych marzeń.

“Zwykły koprys kobiecy, — myślał. — Wkrótce znajdę się na korytarzu”.

Nie przepadał za cygarami. Przypominały mu Billa Burtona. Porządny gość, ale na Boga miał go dość przez cały rok, pragnął o nim zapomnieć przynajmniej w czasie wakacji. Wybrał jednak cygare z indyjskiego pudełka z drzewa sandałowego.

“Jak jednak to drzewo sandałowe przyjemnie pachnie. Egzotyka! — roześmiał się z pewnym sarkazmem. — I ten Budda wyżeźbiony na pokrywce. Tuzinkowa robota dla turystów”.

Miał wyrobiony smak. W jego kawalerskim mieszkaniu w Nowym Jorku nie było wielu rzeczy artystycznych: jeden obrazek Utrilla, jeden rysunek Leonardo da Vinci, trochę nowoczesnej ceramiki, parę dywanów perskich. Nie wybierał tego sam — niezbyt dowierzał swemu znowstwu. Za każdym razem, gdy chciał kupić jakiś drobiazg starał się o poradę kompetentnej osoby. Obracając się w sferach cyganerii, rekompensował sobie w ten sposób wydatki na obiady urządzone dla artystów i krytyków.

Mary Lancaster rzeczywiście nie kazała na siebie długo czekać. Przebrała się w suknię domową z lekkiego szifonu lila, w którym jej było bardzo do twarzy i w którym wyglądała młodo. Ile mogła mieć lat? Ewans sądził, że około 36 to jest tyle ile miał sam.

Stwierdził, gdy nalewała koniak do kieliszków, że ręce jej drżą. To go zastanowiło. Ocknęły się w nim zainteresowania zawodowe. Musiała mieć jakieś przykre przejsie. A może bała się czegoś? Przez skojarzenie przypomniał mu się bankier Sam Silberstein kiedy na dzień przed śmiercią wezwał jego i Burtona i prosił o ochronę. Podobnie trzęsły mu się ręce, a z czarnych oczu wyzierał strach. Burton wydelegował natychmiast dwóch ludzi, doskonałych strzelców, polecając im nie opuszczać bankiera nawet w nocy. A mimo to były współnik Silbersteina, Harry Spielman, mały, niepokazny Żydek, zdołał go trzasnąć przed samą giełdą w biały dzień. Ale Silberstein wiedział czego ma się bać: oszukany współnik zaprzysiął mu zemstę.

Ach, nie! Ewans odrzucił tę bezsensowną myśl. Nawet w czasie urlopu czepiała się go narowy zawodowe.

Mimo to zapytał:

— Nie ma pani żadnych przykrości, Mary?

Spojrzała na niego zaskoczona tym pytaniem.

— Nie. Trapią mnie tylko niedobre przeczucia. Jestem diabelnie nerwowa, Willy, to dlatego. Czasem mi się wyśni jakieś okropieństwo i potem chodzę cały dzień skwaszona. Niektórzy ludzie mają szósty zmysł — przewidywania. Jakby się

otrzymało naraz telegram: strzeż się, stanie się coś złego. I często się to sprawdza.

— Ale nie ma pani żadnych konkretnych obaw — myślę podstaw do obaw?

— Bo ja wiem... Na tym samym statku podróżuje mój pierwszy mąż. Słyszał pan pewno o nim — Peter O'Connor.

— O' Connor! Jakże... Kto by nie znał tego nazwiska!... Bożyszcze tłumów, najślawniejszy gracz w baseball. Dziś już nie gra, jednak...

— Jednak cieszy się nadal sławą. Nie jestem skora do wyznań. Myślę jednak, że powinnam opowiedzieć panu dzieje mojego małżeństwa z Peterem. Gdyby się coś stało, bo jednak może się coś stać...

— Nie sądzi pani chyba...

Uśmiechnęła się z przymusem.

— Nie wiem. Mam złe przeczucia. A więc zacznę od tego, że mieszkalam swego czasu w Detroit, gdzie ojciec pracował u Forda. W roku 19... , mniejsza o rok, wybuch kryzys w przemyśle samochodowym. Stawał się on coraz groźniejszy i pewnego dnia Ford zwolnił około tysiąca robotników, w tym mojego ojca. Przez określony czas żyliśmy z zasiłków dla bezrobotnych. Papa wciążył czekał na sygnał z fabryki, myśląc, że kryzys szybko minie i zawołają go z powrotem do pracy. Zrozumiał jednak w końcu, że trzeba spróbować szczęścia, w innej gałęzi przemysłu. Miał brata w Texas, skomunikował się z nim. Stryj Teddy posiadał niewielki warsztat wulkanizacyjny, ale jak pisał: "... przyjeźdź, akurat potrzebny mi jest pomocnik; razem damy jakoś radę biedzie..." Postanowiliśmy, że ojciec pojedzie sam i kiedy się na dobre zainstaluje sprowadzi mnie do siebie.

Przeprowadziłam się do naszych przyjaciół, Smith'ów. Pan Smith był trenerem w jednym z klubów baseballu w Detroit. Prowadził mnie na mecze, nie bardzo się na tym rozumiałam. Do dziś nie mogę dociec na czym polega czar baseballu. Wołałam kino, niż najpiękniejszy mecz, ale nikt mnie nie pytał o zdanie. W rodzinie trenera niewiara w baseball uchodziła za herezję.

Na jednym z meczów poznałam Petera. Od pierwszego wejścia wydał mi się nadzwyczaj przystojny i męski. Dopiero później, w pewien czas po ślubie spostrzegłam, że gruby, mięsisty nos i kwadratowa szczęka nadają mu wygląd brutalny i antypatyczny. Ale przedtem stanowił dla mnie ideał urody. Cóż pan chce — miałam zaledwie szesnaście lat i bardzo wiele dziewczęcej naiwności, a przy tym wszystkie koleżanki zazdrościły mi Petera.

Napisałam do ojca. Nie był zachwycony. Starał się mnie przekonać, abym zaczęła jeszcze kilka lat. Nie chciałam. Na ślubie było chyba z dziesięć tysięcy osób. Już wtedy Peter był sławny.

Z wyżyn szczęśliwości straciło mnie pierwsze przykre przejście. Peter nie znośił sprzeciwu. Nie pamiętam już o co poszło, o jakiś drobiazg. Uderzył mnie dwa razy w twarz. Później przeprosił, powiedział, że to jego nieszczęsne nerwy i żebym mu wybaczyła. Kochałam go tak bardzo...

Ale w miarę upływu czasu awantury powtarzały się coraz częściej. Bił z wyrachowanym sadyzmem, zaścianał mi ręką

usta, żebym nie mogła krzyżeć. Nie śmiałam się przyznać nikomu do złego traktowania, wstyd mi było. Nawet papa nic nie wiedział.

Pewnego razu Peter wrócił do domu po przegranym meczu, nieprzytomny z gniewu. Wiedziałam, że skrupi się na mnie, nie przypuszczałam jednak, że zostanę tak strasznie zmaltretowana. Był to prawdziwy atak furii. Bił, aż zemdlałam, w piersi, w twarz, brzuch... Wreszcie zamknął nieprzytomną na klucz i wyszedł na miasto.

Na szczęście sąsiadka usłyszała moje jęki. Wyważono drzwi, zawołano karetkę pogotowia. Byłam w trzecim miesiącu ciąży, poroniłam. W klinice leżałam trzy tygodnie, a kiedy ją opuściłam nie było już, oczywiście, mowy o powrocie do domu. Przyjechał ojciec, zabrał mnie do Texas. Wystąpiłam o rozwód. Sprawa nie była trudna, odzyskałam wolność bez najmniejszego kłopotu.

Kiedy wychodziłam z sądu Peter zaczął mnie i powiedział: "Między nami nie wszystko jeszcze jest skończone. Przyjmnę ci się w przyszłości i wtedy będę bardziej bezwzględny".

Widzę do dziś jego straszne, niebieskie oczy, pełne złości. Ojciec chciał się rzucić na Petera, powstrzymałam go siłą. Peter miał nad nim przewagę. W takich wypadkach lepiej przełknąć zniewagę. Myślę, że to wydarzenie stało się bezpośrednim powodem zgonu ojca. Zmarł w kilka miesięcy potem na zawał serca. Nie spotkałam Petera blisko dwadzieścia lat. Dopiero teraz na "Pensylwanii"...

— Jak on wygląda? — zapytał Ewans i zaraz sam sobie odpowiedział na to pytanie. — Wysoki, szerokie bary, kwadratowe szczęki, tak... Mieszka na moim korytarzu. O ile wiem podróżuje samotnie. Hm, nie mogę powiedzieć, aby to dla pani było przyjemne spotkanie. Sądzę jednak, że po dwudziestu latach pragnienie zemsty wywietrzało mu z głowy. Na wszelki wypadek otoczę panią opieką.

— Dziękuję, Willy. Trochę mi się lżej zrobiło kiedy się wypowiedziałam przed panem.

Ewans chrząknął. Tak samo mniej więcej mówił Sam Silberstein.

— Życzę pani dużo szczęścia, Mary — powiedział podnosząc kieliszek i przez mgnienie oka przypatrując się z przyjemnością jego klarownej zawartości.

— O, — odparła, upijając kilka kropel — mam już właściwie wszystko: dobrego męża i dużo pieniędzy. To panu należało by życzyć szczęścia z pańską śliczną narzeczoną.

— Z moją narzeczoną? Ależ ja nie mam żadnej narzeczonej.

— A panna Fuld?

— Panna Fuld jest moją sekretarką, nic poza tym.

Uśmiechnęła się.

— Chociaż nie jestem detektywem nie brak mi spostrzegawczości. Przez cały dzisiejszy wieczór panna Fuld nie odstępowała pana na krok. I mogę powiedzieć, a znam się trochę na tym, była ogromnie zazdrosna.

— Claire? Nie mogę sobie wyobrazić.

— Mężczyźni są zazwyczaj ślepi. My kobiety widzimy znacznie więcej. Dziwiw się, że nie zdaje sobie pan z tego sprawy. Mała jest w panu zakochana po uszy.

Ewans potargał się za ucho. Była to u niego oznaka najwyższego zdumienia.

— Przypuszczam, że pani się myli. Nie uwierzę w to nigdy. Pracuję z Claire od ośmiu lat i zawsze panowały pomiędzy nami czysto koleżeńskie stosunki.

— Zabrał pan ją ze sobą również w czysto koleżeńskich zamiarach? — spytała, nie przestając się uśmiechać.

— Jak najbardziej. Stało się to zresztą, na życzenie Burtona nie bez oporu z mojej strony.

Wziuszyła ramionami.

— Właściwie nie powinnam o tym mówić. Ale nie byłabym kobietą, gdyby mnie nie interesowało kojarzenie małżeństw. Wypijmy za naszą wspólną pomyślność.

— Z przyjemnością.

Ewans wychylił kieliszek i podniósł się chcąc się pożegnać. Ostygł już znacznie w miłosnych zapalach. Był zły na Mary za poruszanie tematów zbyt, jak sądził, osobistych.

Nagle podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach i pocałowała w usta.

— A teraz może pan wyjść — powiedziała.

4.

Kto by przypuszczał, że Willy Ewans po dniu pełnym wrażeń miał niespokojny sen, ten myliłby się bardzo. Bezsennność trapiła go jedynie w owe rzadkie dni kiedy się nudził.

Tym razem spał jak kamień, zbudził się późno i na śniadanie zjawił się w chwili, gdy stewardzi sprzątaali naczynia po ostatnim posilającym się pasażerze.

Kazał podać przede wszystkim szklankę soku pomarańczowego. Pijąc z wolna sok wpatrywał się w okna sali jadalnej, w których ukazywało się na przemian błękitne niebo lub rozkołysany tego ranka zielonkawy ocean.

Dyżurny oficer nawigacyjny przyczepiał do tablicy komunikat o położeniu statku: "tyle i tyle stopni szerokości geograficznej i tyle i tyle stopni długości geograficznej".

— Prędko będziemy w Honolulu? — zapytał Ewans.

Pytanie to było właściwie bezcelowe. Wszyscy pasażerowie wiedzieli, że "Pensylwania" zawinie do Honolulu pojutrze o ósmej rano.

— Pojutrze rano zgodnie z rozkładem — odparł oficer. — Czuję się pan może źle? Trochę kołysz.

Ewans popatrzył z przyjemnością na czerstwą, uśmiechniętą twarz oficera.

— Kołysanie wcale mi nie szkodzi. Wprost odwrotnie — dodaje apetytu. Są jakieś nowości?

— Nic specjalnego. W Wietnamie Południowym komuniści znowu ostrzelali jedną z naszych baz w pobliżu Sajgonu.

— Do tych wiadomości można się już przyzwyczaić... Wuj Sam przypomina boksera, któremu każda ofermą może dać w ucho.

Ukazał się steward z zamówionymi jajami na bekonie. Oficer przyjrzał się jeszcze uważnie komunikatowi, stwierdził, że nie wisi krzywo i wyszedł, a Ewans zabrał się ostro do jedzenia. Jakaś panienka w krótkich, białych szortach i bluzie w wielkie kwiaty przebiegła przez salę. Zahuczała syrena okrętowa.

— Teraz napiłbym się kawy i zjadł rogalik z dżemem porzeczkowym — powiedział sam do siebie Ewans.

W tej chwili stuknęły gwałtownie drzwi.

— No, nareszcie wstałeś! — zawołała Claire. — Szukałam cię wszędzie.

— Nietrudno się było domyśleć gdzie jestem. Nie mam zwyczaju siadać o tej porze do bridża. Ale co to za gwałtowne pragnienie zobaczenia mego smętnego oblicza? Stęskniłaś się za mną?

— Przestań żartować, Willy! Stało się coś strasznego...

— Pozwól mi w każdym razie wypić kawę. Może napijesz się także? Stewardzie, jeszcze jedna filiżanka!

— Daj spokój, już piłam. Mam wrażenie, że kiedy ci powiem o co chodzi stracisz apetyt.

— Mów. Nie ma obawy.

Claire popatrzyła na Ewansa ze źle ukrywaną złośliwością.

— Mary Lancaster zniknęła.

Detektyw zakrztusił się kawą, poczerwieniał, zakaszał, nie mógł złapać tchu.

— Mówisz to poważnie?

— Nie masz mnie chyba za idiotkę. Dziś rano stewardessa kabinowa napróżno się do niej dobijała. Kiedy pchnęła drzwi otworzyły się same, nie były wcale zamknięte.

— To jeszcze niczego nie dowodzi. Pani Lancaster nie zamknęła ich przez roztargnienie. Skąd pewność, że zniknęła? Jest dość wcześnie, dziewiąta. O tej porze Mary może się znajdować w kabinie znajomych, w bibliotece, w barze, czy ja wiem gdzie? Na tak dużym statku jak "Pensylwania" istnieje mnóstwo zakamarków, w których można się zawieruszyć. Czy była na śniadaniu?

— Nie. Poza tym stewardessa twierdzi, że wszystkie suknie Mary Lancaster znajdują się w szafie. Ta kobieta zna doskonale garderobę Mary. Nie brak żadnej sukni. Trudno przypuścić, aby Mary Lancaster poszła z wizytą w piżamie.

Ewans wstał, popatrzył w okna jadalni: niebo - morze, niebo - morze...

— Najlepiej zorientujemy się na miejscu. Czy kapitan już wie?

— Tak. Prosił cię o przeprowadzenie dochodzenia. Byłam u niego. Jest strasznie zmartwiony, obawia się aby sprawa nie nabrała rozgłosu. Chciałby utrzymać to w tajemnicy. Powiedziała, że takiej rzeczy nie da się ukryć. Przede wszystkim służba rozpowie między sobą, a zresztą Mary ma tyłu znajomych...

— Zapewne. Czy w apartamencie był już ktoś poza stewardessą?

— Nikt. Zamknęłam drzwi na klucz i zabroniłam wchodzenia do apartamentu. Ale, jak wiesz, służba ma zapasowe klucze. Nie ma pewności, czy przez ciekawość... Sądzę jednak, że raczej nie.

— To dobrze. Chodźmy!

Z sali jadalnej do apartamentu Mary Lancaster było niedaleko. Mieścił się na tym samym poziomie.

Numer 168. Ewans dobrze zapamiętał ten numer. Było mu niewyrażnie. Nie dalej, niż przed kilkoma godzinami opuszczał progi Mary Lancaster. Można go było, właściwie, uważać za jednego z podejrzanych.

Claire wyjęła z torebki klucz, pchnęła drzwi.

W pierwszym pokoju nic się nie zmieniło od wczorajszego wieczoru. Na popielniczce leżało niedopalone cygaro, pozostawione tam przez Ewansa; fotografia starszego pana stała na swoim miejscu.

Nie wiadomo dlaczego Ewansowi przyszło do głowy: "wrzucona do morza"...

Wszedł do sypialni. Żadnego nieładu. Koidra na łóżku była odrzucona, jakby Mary dopiero co wstała. W powietrzu unosił się delikatny zapach perfum. Na stoliku paliła się lampa.

Claire zgasiwszy lampę przypatrywała się chwilę książce, która spadła na podłogę. "Square Paradis" Deepinga.

— Porwanie nastąpiło w nocy — zauważyła.

— Jeżeli to było porwanie! Mary czytała książkę, gdy zastukano do drzwi. Poszła otworzyć. Jakiegokolwiek ślady obcej ręki mogą się znajdować jedynie w salonie. Tam właśnie rozegrał się dramat. Dramat, czy raczej komedia?

— Ale trzeba dokładnie przeszukać sypialnię.

— A czy ja twierdzę, że nie?

Ewans był w pewnej mierze zirytowany, może nawet wściekły na Claire ("Ta smarkata chce mnie uczyć!"), musiał jednak przyznać, że dziewczyna rozumuje logicznie.

Zbliżył się do łóżka, poruszył koidrę, podniósł poduszkę. Pod poduszką leżał kluczyk.

— Prawdopodobnie od kasetki podręcznej — powiedział. — "Colmann and Co." Hm, Colmann to znany fabrykant kas pancernych. Zajrzyj do szafy, Claire, kasetka powinna tam stać, jeśli jej nie zrabowano.

Claire otworzyła posłusznie szafę. Zielona kasetka o złożonym wieku i złożonych również antabkach leżała na widocznym miejscu obok drobiazgów toaletowych.

— Nie możemy jej na razie otworzyć — stwierdził Ewans. — Zrobimy to później w obecności kapitana. Schowaj klucz do torebki. Przypuszczam, że kasetka zawiera kosztowności. Do licha, nie wygląda mi to na napad rabunkowy!

— Raczej nie. Ale spójrz co znalazłam pod łóżkiem!

— Rewolwer — straszak Mack Commarcka!

— Bardzo interesujące odkrycie — powiedziała Claire.

W zielonych jej oczach pojawił się błysk rozbawienia.

— Mack Cormack nie zasypia gruszek w popiele — uśmiechnęła się. — Co ty na to, Willy? Zrobiliśmy być może zbyt dużo szumu w tej sprawie. Pani Lancaster... przebywa w tej chwili w kabinie Geralda. To była by heca!

Spojrzała drwiąco na Ewansa, a on zaczerwienił się po uszy.

— Poszła do niego w piżamie, przez dwa korytarze? Mack Cormack mieszka po drugiej stronie statku, przy rufie. Nie-możliwe.

— Moja hipoteza upada, — przyznała. — Ale przecież od-
wiedził ją w nocy.

Kiwnął głową. Było mu diablo nieprzyjemnie. Co za perfidia! Przypomniał sobie plotki kursujące o Mary. Flirciara. Płocha, co najmniej. A on uwierzył! I ten pocałunek na pożegnanie. Raz jeszcze dał się nabrać kobiecie.

— Powiem ci coś — oświadczył — ja też byłem tej nocy u Mary.

Spostrzegł, jak nagle pobladła.

— Ty?...

— No i co? Może mi nie wolno?

— Wolno ci, oczywiście.

Odwróciła się. Nie starał się nawiązywać rozmowy. Po dłuższej chwili odezwała się pierwsza:

— Chodźmy do salonu.

Powiedziała to tak zmienionym głosem, że mimo woli pociągnął się za ucho.

“A jednak Mary miała rację, — pomyślał. — Mała jest o mnie zazdrosna.”

Po raz pierwszy spojrzął na Claire innym okiem. Wydała mu się interesująca, zwłaszcza w tym zgniewaniu, gdyż nie ulegało wątpliwości, że była na niego zagniewana.

— Usiądźmy — zaproponował. — Muszę ci opowiedzieć jak wyglądała moja wizyta.

— O, nie jestem wcale ciekawa.

— Dla dobra śledztwa. Bądź co bądź jestem w tę aferę zamieszany. Zapalisz?

Wzięła od niego automatycznie papierosa.

— A więc... — rozpoczął.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Ewans otworzył. W progu stał Mac Mormack. Na widok detektywa i Claire zmieształ się i chciał się cofnąć.

— Hallo, Gerald — zawołał Ewans — nie krępuj się, wejdz!

— Co to znaczy? Gdzie Mary?

— O to samo chcieliśmy cię zapytać. Powinieneś to wiedzieć lepiej, niż my. Widziałeś ją ostatni.

Mac Cormarck, z natury czerwony, jeszcze bardziej poczerwieniał.

— Nie wiem o co ci chodzi, Willy. Co chcesz przez to powiedzieć?

— To tylko, że Mary Lancaster zniknęła, a ty byłeś u niej w nocy.

— Ja... ja... Ale czy to możliwe? Na Boga, co się z nią stało?

Z twarzy bankiera ulotnił się wyraz pewności siebie. Wyglądał żałośnie.

— Czy można wiedzieć o której w nocy odwiedziłeś Mary Lancaster i co tam robiłeś?

— Ależ... ja wcale nie byłem u niej!...

— Och, skrupuły dżentelmena! Nie zapieraj się, na nic się to nie zda. Mamy w rękę dowód rzeczowy.

— Dowód rzeczowy?

— Ten oto rewolwer.

Mówiąc to Ewans wyjął z kieszeni straszak.

— Zapewniam cię, Willy, — wyjąkał Mac Cormack — że to nieporozumienie. Pożyczyłem zapalniczkę Mary.

— To już zaczyna być zabawne. Masz mnie za bardzo naiwnego człowieka. Ale dość już wykrętów! Albo powiesz uczciwie wszystko co wiesz, albo...

— Albo co?

— Sprawa twoja znajdzie się u kapitana. Uprzedzam, że to grubsza historia i źle pachnie. Istnieje podejrzenie, że Mary Lancaster została podstępnie wprowadzona i być może zamordowana.

Bankier raczej upadł, niż usiadł w fotelu. Dyszał ciężko.

— Ale ja naprawdę nic nie wiem. Nie zechcesz mnie chyba skompromitować, Willy. To było by straszne dla moich interesów i spraw osobistych, katastrofalne w skutkach. Nie możesz sobie nawet wyobrazić. Błagam cię, zostaw mnie w spokoju. Przysięgam, że jestem niewinny! Zapłacę za milczenie ile zechcesz.

— Wydaje mi się, że zapomniałeś z kim mówisz. Jeżeli dobrze rozumiem chcesz mnie przekupić?

Ewans wstał i spojrzał groźnie na bankiera.

— Broń Boże... Broń Boże... Wcale tak nie myślałem. Złożę ofiarę na jakiś cel, na Armie Zbawienia, na ochronki murzyńskie, na co tylko każesz. Nie łam mi życia, Willy.

— Niestety, nie mogę się do niczego zobowiązać. Namysł się dobrze. Zgłoszę się do ciebie po obiedzie. I radzę wyznać całą prawdę. Nic tak nie popłaca w podobnych wypadkach jak szczerść.

— Moja zapalniczka!...

— Otrzymaś ją po ukończeniu dochodzenia. A teraz możesz już iść, nie jesteś mi więcej potrzebny. Znajdę cię, gdy zajdzie potrzeba.

Mac Cormack podniósł się ciężko, aż zadzwieczyły sprężyny w fotelu i cofając się nie wiadomo dlaczego tyłem, powiedział:

— Co za nieszczęście!... Mogłem polecieć do Paryża. Diabli mnie namówili na podróż tym przeklętym statkiem.

Gdy wyszedł Ewans uśmiechnął się ponuro.

— To go skłoni w przyszłości do rezygnacji z łatwych zwycięstw.

Ale kiedy wypowiedział tę cenną myśl przypomniał sobie, że wcale nie jest lepszy, niż Mac Cormack. I on również szukał przygody, odwiedzając tę samą piękną kobietę tyle tylko, że nieco wcześniej.

— Czy sądzisz, że Gerald maczał palce w tej sprawie? — zapytała Claire. — Mnie się osobiście wydaje, że jest niewinny.

— Nic nie wiem, to strasznie zagmatwana historia, — powiedział Ewans. — W końcu nie mamy jeszcze początku nici w rękę. Ale a propos, słyszałaś o facecie, który nazywa się O'Connor?

— Chyba. Człowiek interesuje się trochę sportem, a O'Connor to przecież sława. Płynie na "Pensylwanii", wiesz o tym? Bardzo ciekawy typ. Może się podobać kobietom. Reporterzy mało go nie zadusili w czasie odjazdu z San Francisco.

— Szkoda, że tego nie zrobili. Ale w związku z tym typem opowiedz mi coś co cię może zainteresować.

I Ewans zdał Claire relację z wyznań Mary Lancaster.

— Trzeba by go było przesłuchać, ale nie mam pojęcia jak się do tego zabrać.

— Och, — powiedziała Claire — pozostaw to mnie. Poznałam O'Connora, wczoraj wieczór. Świetnie tańczy. Nawiażę z nim po prostu towarzyską rozmowę na temat porwania.

— Doskonale, — mruknął Ewans. — A teraz chodźmy do kapitana.

— Nie obejrzymy dokładnie salonu?

— Zrobimy to później. Wizyta u kapitana wydaje mi się ważniejsza.

5.

Kapitan Wilkinson przemierzał swoją kajutę wszerg i wzdłuż. Widać było, że jest zdenerwowany, co u tego zrównoważonego i flegmatycznego człowieka musiało się zdarzać rzadko.

— Dobrze, że widzę pana wreszcie. Są jakieś wiadomości?

Ewans poruszył przecząco głową.

— Na razie nic pewnego. Przeszukałem apartament pani Lancaster. Sądzę, że została porwana.

Kapitan zmienił się na twarzy i Claire zdawało się, iż usłyszała soczyste przekleństwo, wypowiedziane co prawda przyciszonego głosem, tak, że mogła się ostatecznie omylić.

— Nie umiem się domyśleć motywów porwania — ciągnął Ewans. — Może chodzi tu po prostu o pieniądze. Mielibyśmy wówczas do czynienia z klasycznym wypadkiem kidnaperstwa i w takim razie do wieczora powinno wpłynąć żądanie okupu. Trzeba pamiętać, że przestępcy mają niewiele czasu — pojutrze statek zarzuca kotwicę w onolulu.

— Alą — urwał — (proszę zauważyć, że głośno myślę) nie należy wykluczać zemsty jako powodu przestępstwa. Wtedy, bardzo mi przykro, że wysuwam to domniemanie, pani Lancaster została prawdopodobnie zamordowana.

— To jest — przerwał gwałtownie kapitan — chciałbym wiedzieć jak pan to sobie wyobraża...

— Wrzucona do morza.

— Wachta by to zauważyła.

— Niekoniecznie. Noc była ciemna, a dźwięki orkiestry mogły zagłuszyć odgłos upadku ciała. Ma pani papierosa, panno Fuld? Moje się skończyły.

— Niech pan zapali mojego — powiedział kapitan. — Bardzo przepraszam, zapominam o zasadach gościnności. Ta przekłeta sprawa! Wolałbym najgorszy sztorm, nawet huragan. Wolno zapytać na czym pan opiera to ostatnie przypuszczenie, panie Ewans?

— Brak mi jeszcze pewnych ogniw w rozumowaniu, nie mówiąc już o dowodach. Są to w tej chwili jedynie podejrzenia.

— Czy nie sądzi pan, że istnieje powiązanie pomiędzy porwaniem pani Lancaster, a napadem na stację radiową?

— Nie. Z punktu widzenia logiki tego rodzaju supozycję należy odrzucić. Nie widzę dlaczego przestępca miałby powiadać o zbrodni przed jej dokonaniem.

— Hm, tak.

— Ale wracając do rzeczy potrzebna mi jest pańska pomoc, kapitanie. Chciałbym przeszukać kajuty.

— Wszystkie?

— Oczywiście. Ale czemu pan jest taki zdumiony?

— Gdyż na "Pensylwanii" znajduje się prawie tysiąc kabin.

— Diabelnie dużo, ale nie ma na to rady. Proszę przede wszystkim zwołać służbę i zapytać, w których kabinach nie sprzątało dziś rano na wyraźne życzenie pasażerów.

— Rozumiem.

— Nie należy też wykluczyć luków i składów żywnościowych.

— Nie mogę się na to zgodzić — przerwał kapitan. — Nikt poza załogą nie ma dostępu do luków.

— Niestety, w tej sprawie wszyscy jesteśmy podejrzani, nawet pan i ja. Mąż pani Lancaster został już powiadomiony o wypadku?

— Uważałem to za swój obowiązek. I otrzymałem odpowiedź, która zainteresuje pana zapewne. Oto telegram.

Ewans przejrzał szybko depeszę i podał Claire.

"ZDRUZGOTANY STRASZNĄ WIADOMOŚCIĄ STOP NAYCHMIASZ SKOMUNIKOWAĆ SIĘ Z DETEKTYWEM EWANSEM NA POKŁADZIE PENSYLVANII STOP PŁAĆ KAŻDA CENIE ZA ODSZUKANIE ŻONY STOP TELEGRAFOWAĆ BIEŻĄCO WYNIKI DOCHODZENIA — JIM LANCASTER.

— Mam też drugi telegram adresowany bezpośrednio do pana.

— Mogę się domyśleć — od Burtona. Niech pani przeczyta, panno Fuld.

"LANCASTER POWIERZYŁ FIRMIE ODSZUKANIE ŻONY STOP PRZYKRO MI STARY ŻE ZAKŁÓCAM CI URLOP POZDROWIENIA BURTON".

— No, to nie traćmy czasu, — powiedział Ewans. — Kwestie techniczne: jest pan, oczywiście, kapitanie, najwyższą władzą na statku i w razie potrzeby może pan wydać nakaz aresztowania podejrzanej osoby. Ale, o ile wiem, na statkach pasażerskich nie ma cel więziennych?

Kapitan Wilkinson rozłożył ręce.

— Na "Pensylwanii" istnieje tylko jedno zakratowane pomieszczenie — skarbiec. Przepisy nie pozwalają jednak na lokowanie w nim osób postronnych, zwłaszcza zaś przestępców.

Ewans uśmiechnął się.

— Pytanie moje było czysto teoretyczne. Podejmuję się każdąabinę przekształcić na więzienie. A teraz mała prośba: zechce pan udać się z nami do apartamentu pani Lancaster. Zostawiła kasetkę. Chciałbym w obecności pańskiej sprawdzić zawartość kasetki, sporządzić protokół i zabezpieczyć ewentualne kosztowności i pieniądze w skarbcu okrętowym.

— Służę — odparł kapitan.

W dole, o piętro niżej, w korytarzu wiodącym do apartamentu Mary Lancaster, panowała idealna cisza. Korpulentna ste-

wardessa ładowała na wózek brudną bieliznę pościelną.

— Nic nowego, pani Phillips?

— Nie, panie kapitanie.

Ewans przypatrzył się uważnie stewardessie. Miała okrągłą, dobroduszną twarz, duże czarne oczy i szerokie, łapczywe usta.

— Pani obsługuje apartament pani Lancaster? — zapytał.

— Tak.

— Będę chciał z panią pomówić. Ale nie teraz, później.

— Czy mam otworzyć drzwi od kabiny?

Ewans skinął głową.

— O, — powiedziała — co tu się stało? Ktoś przewrócił stół... Ale ja tu nie byłam, panie kapitanie, od rana — usprawiedliwiała się. — Naprawdę nie byłam...

Ewans odsunął ją niecierpliwie.

W salonie panował nieład. Fotografia ojca Mary Lancaster leżała na podłodze. Szkło było rozbite. Sztuczne kwiaty, wyciągnięte z wazonu, wały się na kanapie.

— Mam wrażenie — powiedział Ewans — że ktoś obszedł się z rzeczami pani Lancaster umyślnie złośliwie. Tak, to daje dużo do myślenia... Ale chodźmy do sypialni.

— W tej szafie, panie kapitanie, znajduje się kasetka. Proszę, panno Fuld... Och, do diabła!...

Suknie Mary Lancaster, pocięte jakimś ostrym narzędziem, zwisały złachmanione na wieszakach. Nie było ani jednej całej. Co zaś do kasetki to pozostało po niej tylko wgniecenie na serwetce. Znikła.

(C. d. n.)

Zawiadamiamy naszych Szanownych Czytelników, że od następnego numeru wysyłać będziemy pismo tylko tym osobom, które odnowiły prenumeratę i nadesłały należność z góry za r. 1965. Zmuszają nas do tego stale wzrastające koszty druku i papieru.

BUKI

(D. c. z nr 1-go)

STRESZCZENIE Z POPRZEDNIEGO NUMERU

Jedna z pięciu córek średnio-zamożnego ziemianina, Jana Zaremskiego, Iza, wychodzi z namowy matki za mąż za bogatego dziedzica Uniszek Murowanych, Artura Prawdzic-Wychnowskiego. Po ślubie okazuje się, że Wychnowski unika kobiet, lubi natomiast mężczyzn. W trzy lata później Iza nie ma jeszcze dziecka, co stanowi powód nieustannych wymówek ze strony teściowej.

W głowie Izy powstaje niezwykle plan. Wyjeżdża do Warszawy, rzekomo na kurację, w rzeczywistości zaś na poszukiwanie kochanka, z którym mogłaby mieć dziecko. Wkrótce na ulicy poznaje młodego, przystojnego człowieka. Wacek Penott, właściciel przedsiębiorstwa sprzedaży nieruchomości, podoba się jej od pierwszego wejrzenia. Noc spędzona w jego kawalerce nie jest bezowocna: Iza zachodzi w ciążę. Staje się jednak coś czego nie przewidziała — oto zakochuje się w swoim przygodnym partnerze. Nie daje się wszakże ponieść uczuciu — żegnając się z kochankiem nie pozostawia mu nic co by go mogło naprowadzić na ślad jej osoby — imienia, ani adresu. W przepisowym czasie rodzi syna.

Wybucha pierwsza wojna światowa.

W sierpniu r. 1915 do majątku ziemskiego Buki, którego właścicielem jest stary dziwak, Anzelm Kończyc, trafia, zabłąkawszy się, praktykant rolny Witold Robowski. Jest to biedny chłopak; o własnych siłach ukończył gimnazjum, udaje się właśnie na praktykę do majątku kolegów. Kończycowi, który niedgdyś kolegował z ojcem młodzieńca w Petersburgu, Robowski podoba się. Postanawia zatrzymać go u siebie.

Anzelm Kończyc ma brata, Rudolfa, nałogowego alkoholika, żonatego ze znacznie młodszą od siebie kobietą, Moniką. Brat

ten zjawił się w majątku, gdy Kończyc przebywający na początku wojny w Petersburgu, został odcięty od kraju. W Bukach rozpoczęły się pijatyki i zabawy. Monika, typ niewiasty pozbawionej skrupułów, zadawała się ze wszystkimi oficerami stacjonującego we wsi pułku dragonów austriackich. Nagle wraz z wojskiem rosyjskim wraca Anzelm Kończyc. Rozwścieczony przepędził batem braterstwo.

Witold Robowski staje się ulubieńcem starego oryginała. Czując się niedobrze ze zdrowiem Kończyc oddaje mu wreszcie Buki w administrację poręczającą. Praktykant z biedaka przekształca się na zamożnego człowieka. Umożliwia mu to staranie się o rękę Stefci Zaremskiej. Dziewczyna zakochuje się w nim na zabój.

Robowski nie ma wcale tak dobrego charakteru jakby można było sądzić po jego zachowaniu się. Jest to typowy karierowicz o oschłym sercu, dbający wyłącznie o własne przyjemności i powodzenie. Mimo, iż zaęczonej ze Stefcią nie wyrzeka się łatwych przygód. Monika Kończycowa, poznana przypadkowo w lesie, bez trudu wciąga go w romans. Ma ona w stosunku do Robowskiego daleko idące plany, ale po przekonaniu się, że chłopak ma zostać dziedzicem Buków, zmienia nagłe postanowienie. Namówiony przez nią kłusownik Gawrych, będący jej kochankiem, strzela do Anzelm Kończycza z zasadzki i rani go śmiertelnie. Zabójca i Rudolf, który z polecenia Moniki przekazał mu wynagrodzenie za dokonanie morderstwa, trafiają na ławę oskarżonych. Sąd skazał Gawrycha na karę śmierci, a Rudolfa na dożywotnie więzienie. Dzięki dyskrecji współników Monika wychodzi ze sprawy bez szwanku.

Robowski otacza Monikę opieką. Żeniąc się ze Stefcią nie zrywa wcale z kochanką.

Przyjaciel Robowskiego, Szymek Perkowski, wstępuje do Legionów. W I Brygadzie zapoznaje się i zaprzyjaźnia z Wackiem Penottem, który porzuciwszy intratne interesy w Warszawie, poświęca się służbie Ojczyźnie. Pod wołyńską wsią Gradyski Szymek zostaje ranny. W szpitalu odwiedza go, w zastępstwie Robowskiego, Stefcia. Młoda kobieta jest rozczarowana: mąż, który wydawał się ideałem, poświęca jej mało uwagi i czasu; myśląc tylko o pieniądzach wyzyskuje robotników, ci zaczynają go nienawidzić. Stefcia prosi Perkowskiego, żeby przyjechał do Buków. Może pod jego wpływem Witold się zmieni.

Kończy się wojna światowa.

Robowski coraz bardziej oddala się od żony. Ryzykowne interesy, podejmowane wspólnie ze szwagrem Wychnowskim, nadszarpują jego finanse. Na Monikę wydaje także bardzo dużo. Widząc bezwzględne postępowanie męża z robotnikami i niszczycielską gospodarke Stefcia zdobywa się na akt woli i zapoznaje Robowskiego z klauzulą, sporządzoną przez Kończycza przed śmiercią. Na mocy tej klauzuli sprzedaż Buków w całości lub w części może nastąpić jedynie za zgodą współmałżonków.

Część pierwszą powieści kończy się na scenie ustąpienia ze służby leśniczego Marciniaka i rządcy Pliszki, którzy zmuszeni są do tego kroku niepoczytalnymi posunięciami gospodarczymi Robowskiego. Tegoż dnia do uszu Stefci dochodzą po raz pierwszy wieści o romansie męża z Moniką.

Po przybyciu gości do Buków Robowski zdecydował się pokazać im majątek.

Jechali bryczką wzdłuż parku.

— Mój park... — wskazał niekoszone trawniki i zarośnięte chwastami ścieżki. — Mój las... — zatoczył szeroki ruch ręką. Z pobliskiego stawu zerwały się kaczki.

— Moje kaczki... — powiedział.

Dalej była "moja gajówka", "moje łąki", "moje pola pszenicy" itd.

Powrócili i wysiedli przed stajnią.

Penott, bo to on był tym dawnym dowódcą szwadronu Szymka, od chwili pierwszego spotkania, poczuł antypatię do właściciela Buków.

Zwrócił się teraz do niego i wskazał na pryzmę gnoju leżącą przed stajnią.

— A to prawdopodobnie pański gnój?! — roześmiał się. — Całe szczęście, że niebo nad nami należy do kogoś innego!...

Wieczorem, leżąc w łózkach, przyjaciele dzielili się wrażeniami.

— Zdaje się, żeśmy wpadli, — powiedział Penott. — Konstancin albo Świder były by lepszymi miejscami na spędzenie urlopu.

— Chłop zmienił się niewiarogodnie, — odszekł Szymek. — Pomyśleć, że jest to ten sam Witek, z którym dzieliłem dolę i niedolę w Warszawie!...

— Pieniądz i tak zwana "pozycja", nie są środkami uszlachetniającymi ludzi, — zauważył Penott. — Ale! ona jest uroczą, — dodał po chwili milczenia. — Przypomina mi kogoś, nie wiem tylko kogo... Nie wydaje mi się, że jest — szczęśliwa.

— Już choćby dla niej musimy tu pobyt kilka dni, — wyrzekł Szymek. — Postaram się z nim porozmawiać.

— Musisz się spieszyć. Słyszałem jak mówił do służącego, że jutro wyjeżdża do Kielc. — Penott zgasił lampę.

Zasypiając widział żarzący się w ciemności papieros Szymka.

* * *

Telefon w Uniszkach Murowanych był uszkodzony i zajęli tam bez uprzedzenia.

— Zrobimy jej niespodziankę — powiedziała Stefcia, polecając zatrzymać powóz przy bramie wjazdowej.

Wbiegli szybko na schody dworu.

Stefcia po cichutku otworzyła drzwi i znaleźli się w salonie.

W tej chwili, z przeciwległej strony wbiegł do pokoju dwunastoletni, zgrabny chłopiec. Zatrzymał się zdziwiony, a poznawszy Stefcię, podbiegł do niej i objął za szyję.

— Ciocia Stefcia! — zawołał. — A to się mamusia ucieszy!...

— Przedstaw się panom.

Chłopiec podszedł do gości, skłonił lekko głowę i powiedział:

— Babcia mówi, że się nazywam Wacław Bolesław Prawdzic-Wychnowski, ale mamusią woła na mnie tylko — Kwiatek.

— No to jesteŝmy imiennikami. — Penott wyciagnał do niego rękę, — bo ja takŝe mam na imię Wacław.

Nie wypuścił dłoni chłopca przez dłuŝszą chwilę i patrzył na niego w skupieniu.

— A to jest Krzyŝ Virtuti Militari, — powiedział chłopiec —.

— A to "gapa", — uniósł palec ku odznace lotniczej, zdobiącej pierś Szymka.

Penott nie odrywał wzroku od twarzy chłopca. W pewnej chwili, błyskawica rozjaśniła mu mózg: stanęła mu przed oczami jego własna fotografia z czasów dzieciństwa. "Kwiatek" — przemknęło mu się przez głowę.

— Dobry Boŝe! — wyszeptał.

Zbliżył się do chłopca, podniósł go i przycisnął do piersi.

Do salonu weszła Iza.

27.

PODWÓJNE ŚWIĘTO

Odpust w parafii Szczerkowskiej przypadał w dniu św. Wawrzyńca i zbiegał się z datą bitwy pod Radzyminem w 1920 roku.

Dawało to możność księdzu kanonikowi Szczepańskiemu przypomnienia w kazaniu odpustowym o "cudzie nad Wisłą" i bohaterskiej śmierci księdza Skorupki.

Sierpniowy odpust w roku 1926-tym zapisał się w pamięci mieszkańców Szczerkowa na wiele lat. Takich tłumów, jakie od wczesnego ranka zaczęły napływać do miasteczka, nie widziano nigdy.

Cały plac targowy wypełniły wozy i pojazdy. Dwóch spocynych policjantów, kierowało późniejszych przybyszów na łąkę pod miastem, ulice zaroziły się mrowiem ludzkim.

Przed odnowionym i przybranym girlandami budynkiem "Szczerkowskiej Spółdzielni Rolników", grupy chłopów przyglądały się z dumą swojemu dziełu. Obok gmachu, — ustawiona ukosem, — stała ciężarówka Spółdzielni, na której widniała, przybrana biało-czerwonymi wstęgami, — trybuna.

Z otwartych na ościeŝ drzwi Kościoła, rozległ się śpiew "Boŝe coś Polskę". Tłum, kolorową rzeką zaczął wypływać na rynek.

Plac przed Spółdzielnią wypełnił się szczelnie. W oknach przeciwległych kamienic, na balkonach, głowa przy głowie, wiadać było ludzi. Co zwinniejsi znaleźli sobie miejsca na dachach domów.

W dniu patrona parafii św. Wawrzyńca, miało nastąpić otwarcie odbudowanej Spółdzielni. Gospodarze z najdalszych okolic przybyli aby uczcić podwójne święto.

Z zakrystii wyszedł młody wikary.

Przycisnął się szpalerem ku Spółdzielni i powitany przez członków zarządu, zniknął za jej drzwiami. Po chwili ukazał się ponownie. Prezes zarządu, Krajkowski, podał mu rękę i pomógł wejść po schodach na trybunę.

Wikary oparł się rękami o pulpit.

— Chryste Panie! — wymamrotał zdumiony. — Tyle ludzi jak na odpuście w Częstochowie...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... — drżącą ze wzruszenia ręką przeżegnał tłumy.

— Na wieki wieków! — huknęło jak wichrem.

— Najmilsi bracia, — wyteżył głos, — z polecenia księdza kanonika, zajętego odpustem, przyszedłem pozdrowić was w jego imieniu i poświęcić gmach tej zmartwychwstałej Spółdzielni. Jak Łazarz podniosła się ze zniszczeń wojennych, dzięki pomocy Bożej, która oby was nigdy nie opuściła.

Wikary przeżegnał się i ze zdziwieniem spojrzął na ministranta, który wciskał mu do rąk kropielnicę.

— Czego chcesz? Przecież już poświęciłem... — powiedział zaczerwieniony.

— Zapomniał ksiądz wikary o ciężarówce — szepnął chłopak.

Wikary zatoczył ręką dokoła, zraszając obficie kroplami wody święconej chlubę Szczerkowskiej Spółdzielni Rolników.

Tłum zafalował, tu i tam rozległy się przyciszone głosy.

Na trybunę wszedł Krajkowski.

Siwe, bujne włosy opadały mu na czoło, sumiasty wąs okalał usta, błękitne oczy patrzyły przed siebie. Ubrany był w codzienną, — dobrze wyświechtaną marynarkę, stojący bliżej mogli zauważyć wielką łatę na jej rękawie. Koszulę tylko miał białą, tenką i nową. Niedbale zawiązany wypłowiały krawat spadał mu na piersi.

Zrobiło się cicho.

Krajkowski powiódł oczyma po tłumie.

— Zacznę to moje przemówienie, — wyraźne i donośne słowa docierały w każdy kąt placu, — od słów księdza wikarego: Łazarz powstał z martwych! — odwrócił się i wskazał na gmach Spółdzielni. — Łazarz powstał, zapomniał o starości, przybrał się w młodzieńcze szaty po to, aby wam służyć.

Bo ta Spółdzielnia jest wasza. Mogliśmy dożyć tej chwili dzięki waszej pracy. Pracy, za którą nikt z was nie dostał zapłaty.

Przypadł mi zaszczyt, podziękować wam za nią dzisiaj.

Żałuję, że tego podziękowania — ciągnął po krótkiej przerwie, — nie mogę złożyć wszystkim naszym obywatelom. Byli i tacy, którzy rzucali nam kamienie pod nogi i robili wszystko, aby nasz wysiłek udaremnić.

— Znamy ich! — krzyknął ktoś z tłumu.

— To oni! — kilka rąk wyciągnęło się w kierunku rusztowania otaczającego niewykończony budynek Szczerkowskiego Towarzystwa Handlowego.

Krajkowski skierował wzrok na rusztowania.

— Tak. To oni — powiedział. — Gdyby to ich Towarzystwo powstało uczciwie nie mielibyśmy przeciw nim nic. Żyjemy w wolnym kraju, każdy powinien przyczynić się do jego rozwoju. Ale ten gmach, nie jest pomnikiem postępu. Jest on symbolem zniszczenia. Staje na ruinach najpiękniejszych lasów, sadzonych rękami naszych ojców i dziadów. Staje dla upamiętnienia dewastacji dobra całego kraju.

Spółdzielnia nasza nikogo nie zrujnowała ani nie zrujnuje.

Jeżeli, co daj Boże — wykaże zyski, będą one dzielone równo pomiędzy wszystkich członków. Ci, którzy do niej wstąpią nie będą bogacić kieszeni właścicieli.

Niech panowie handlują z tym "Towarzystwem". My, chło-

pi i robotnicy, do nich nie pójdziemy!...

Ludzie podali się ku przodowi.

— Kto pójdzie ten zdrajca! — rozległy się okrzyki. — Precz z obszarnikami!...

Krajkowski ruchem ręki uciszył tłum.

— Bądźmy sprawiedliwi, — powiedział spokojnie. — Jako sekretarz Związku Robotników Rolnych znam dobrze ziemian. Nie wszyscy są tacy. Większość jest uczciwa, stara się pomagać robotnikowi. Kilkunastu należy do naszej spółdzielni i wydatnie się przyczyniło do jej odbudowy. Synowie ich padli na polu walki, oddając życie za to, żebyśmy byli wolni. Bądźmy sprawiedliwi — powtórzył.

Nasza Spółdzielnia ma służyć wszystkim, którzy pragną jej pomocy. Że będzie służyć uczciwie, powie wam osoba jej nowego kierownika: człowieka, który raczej był gotów pozostać bez pracy, aniżeli przyczynić się do — zniszczenia.

Krajkowski spojrział, poza siebie.

— Panie Pliszka, — powiedział cicho, — proszę do mnie...

Pliszka wszedł na schodki. Krajkowski wyciągnął do niego rękę.

— Oto kierownik "Szczerkowskiej Spółdzielni Rolników" — objął go ramieniem.

— Niech żyje pan P. Pliszka!!! —

Potężny okrzyk odbił się echem od murów kamienic i popłynął nad łąkami do Buków.

Pliszka stał bez słowa.

Opuścił powoli głowę i rozłożył bezradnie ręce.

— Powiedz-że coś! Marciniak, stojący koło ciężarówki starał się przekrzyknąć niemilknące okrzyki.

Kiedy się uciszyło, Pliszka uniósł głowę.

— Bóg wam zapłać... — powiedział.

W powozie, w drodze powrotnej z odpustu, pani Natalia Zarębska powiedziała do męża:

— Ten Krajkowski, mówi nie jak robotnik, ale jak jakiś profesor.

— Żebyś wiedziała ile on ma książek, każdy grosz na nie poświęca.

Po chwili, wciskając się w kąt powozu, dodał:

— Doиграли się nasi zięciowie, doиграли...

Nienawidził ich obu.

28.

POMYŁKA MARGULESA

Tym razem nie tylko spotkanie z Moniką było powodem wyjazdu Robowskiego do Kielc.

Obaj z Wychnowskim otrzymali wezwanie do stawienia się w tym samym dniu w Izbie Skarbowej i w Dyrekcji Lasów.

Robowski był w ponurym humorze: dla zachowania pozorów, nie mógł zajechać do oczekującej go Moniki, ale musiał zatrzymać się razem ze szwagrem w hotelu.

Oczekiwał tu na nich kupiec drzewny Margules.

— Oj, niedobrze... — stęknął wchodząc do pokoju.
— Wie pan dlaczego nas tu wezwali? — zapytał Artur Wychnowski.

— Wiem, — Margules opadł na fotel. — Panowie dziedzice przez cały rok nie zapłacili grosza podatków. Trzeba będzie uprosić Izbę Skarbową o rozłożenie i coś wpłacić.

— To się da zrobić, — machnął ręką Robowski. — A czego od nas chce Dyrekcja Lasów?

— Marciniak nie mówił o tym panu dziedzicowi?

— Nic mi nie mówił.

— W zeszłym miesiącu był u niego Inspektor Ochrony Lasów.

— A tak, — przerwał Robowski, — teraz sobie przypominam...

— Wyrabiali panowie dziedzice za dużo lasu.

— Za pana radą! — wykrzyknęli obaj równocześnie.

Margules podniósł ręce do góry.

— Ajaj! Po co zaraz taki gwałt, i to da się załatwić. — Tylko będzie dużo kosztować, — pokiwał smutnie głową.

— Chce pan dać łapówkę? — zapytał szeptem Wychnowski.

— Dlaczego ma być od razu łapówka? Pan dziedzic Robowski za poradę co do swojego dużego lasu, a pan dziedzic Wychnowski za poradę co do swojego małego lasu, dadzą panu inspektorowi — prezenty.

— Jakiej wartości?

Robowski stanął przed Margulesem.

— Na pana dziedzica wypadnie pięć tysięcy złotych. Na pana dziedzica Wychnowskiego — połowa.

— Skąd weźmiemy te pieniądze? Przecież pan wie, że nie mamy nawet na wykończenie budynku naszej firmy w Szczerkowie.

— Margules pożycz. Wystawią mi panowie dziedzice weksel na dwaście tysięcy złotych i po krzyku.

Wychnowski popatrzał pytająco na szwagra.

— Nie ma innej rady.

Robowski miał znudzony wyraz twarzy, widać było, że chce skończyć jak najprędzej.

Następnego dnia rano obaj stawili się w Dyrekcji Lasów i bezwzględnie zostali przyjęci przez dyrektora.

— Sprawa jest poważna, — powiedział kiedy zajęli miejsca.

— Nie tylko złamał panowie ustawę dewastując bezprzykładnie lasy, ale zignorowali moje pisemne ostrzeżenia.

— Ja tych ostrzeżeń nie czytałem... — Robowski uśmiechnął się, — jak mu się wydało — swoim rozbrajającym uśmiechem. — Tyle pism urzędowych przychodzi, które człowiekowi odbierają apetyt, — podał dyrektorowi papierośnicę.

— To szkoda. — Dyrektor odsunął papierośnicę. — Nie panie... Gdyby pan przeczytał to co napisałem, to by się pan dowiedział, że ustawa dozwala wyrąbywać jedną setną posiadanego obszaru lasu, pod warunkiem, że w ciągu dwóch lat poręba będzie oczyszczona i zalesiona. Poza tym, wiedziałyby pan, że rąbać można tylko osiemdziesięcioletnie sosny. Jeżeli przyrost ich był słaby, to wiek ten automatycznie podwyższa ustawa do stu lat. Czy pan wie ile lat liczyły sosny, które ostatnio zrabano w Bukach?

— No, — bąknął Robowski — prawdę powiedziawszy...

— Ja to panu powiem, — przerwał dyrektor — trzydzieści lat. Lasy, nie tylko są własnością prywatną. — Wyciągnął rękę i wskazał mapę wiszącą na ścianie. Są one także majątkiem całego państwa.

— Panie dyrektorze, — Wychnowski poprawił się w fotelu, — znany kupiec drzewny Margules mówił nam, że ustawa może być zmieniona.

Robowski, który patrzył na twarz dyrektora, ze zdziwieniem zauważył, że wypowiedziane przez szwagra nazwisko Marguesa nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

— Nic o zmianie ustawy nie słyszałem.

Wychnowski pochylił się ku niemu.

— Dziękujemy serdecznie panu dyrektorowi za tak cenne wyjaśnienia i prosimy zapomnieć o tym przykrym nieporozumieniu.

Wyjął z kieszeni przygotowaną kopertę i położył na biurku. Robowski zrobił to samo.

— Jeżeliby pan dyrektor miał dla nas jeszcze jakieś rady, — wyrzekł — to z wdzięcznością ich wysłuchamy.

Dyrektor patrzył na koperty w milczeniu.

— Dam panom radę po południu, — powiedział. — Proszę tu przyjść o czwartej godzinie.

— Widzisz, — szepnął Wychnowski kiedy wyszli, — wszystko jest na najlepszej drodze. Margules to spryciarz, ho, ho...

O czwartej po południu ponownie weszli do gabinetu dyrektora. Tym razem nie poprosił ich, żeby usiedli. Obok biurka stał komisarz policji. Koperty leżały na tym samym miejscu, na którym je pozostawili.

— Panowie będą łaskawi pokazać swoje dokumenty — powiedział komisarz.

Przeczytawszy, schował je do kieszeni.

— Panowie zostawili tu te koperty? — zapytał.

— Tak jest, — bąknął Robowski.

— Niech pan otworzy swoją kopertę.

Kiedy Robowski drżącymi rękami rozdarł kopertę, komisarz polecił mu przeliczyć pieniądze.

— A teraz pan, — popchnął lekko Wychnowskiego. — Siedem tysięcy złotych, — przeliczył pieniądze. — Proszę za mną.

Ucisnął rękę dyrektorowi, który przyglądał się całej scenie z odrazą.

29.

MONIKA MA DOSYĆ

Była północ.

W mieszkaniu Moniki rozległ się dzwonek. Oczekiwała Robowskiego od trzech dni i dusiła się z wściekłości. Przetarła opuchniętą od bezsenności powiekę i otworzyła drzwi.

— Monisiu!...

Robowski starał się ją objąć.

Poczuła zapach alkoholu.

40

— Zaczynasz tak jak Rudolf! — odepchnęła go brutalnie. Chwiejąc się na nogach dobrnął do kanapy.

— Masz papierosa? — zapytał.

— Nic nie mam! — odpowiedziała zapinając szlafrok. — Od tygodnia nie mam ani grosza. Nie wiem po co tu przyjechałam.

Patrząc na niego, zaciskała pięści. Przez te dni i noce uprzytomniła sobie, że żeby nie on, ten obdarty przybłąda, byłaby dziś panią Buków. Uspiona przez kilka lat nienawiść odżyła w niej z całą mocą. Postanowiła z nim skończyć. Miała go dość.

Robowski niezadarnie wytrząsał kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

— Całe szczęście, że masz wodę... — sięgnął po karafkę.

— Wypij i otrzeźwiej! — stanęła przed nim. — Mam ci coś ciekawego do powiedzenia.

— Twój przyjaciel Margules powiedział mi także coś ciekawego, — wymamrotał. — W rezultacie jestem oskarżony o usiłowanie przekupstwa wyższego urzędnika...

— Nic mnie on nie obchodzi!

— Przecież tyś go znalazła... A teraz mówisz, że masz coś ciekawego do powiedzenia. O co mnie oskarżasz? — roześmiał się.

— O to, że jesteś draniem. Ja jedna dawno już cię przejrzałam na wylot. Słuchaj co ci powiem: odstępuję dzierżawę i wyjeżdżam na stałe do Warszawy.

— Szczęśliwej drogi... — wyciągnął się na kanapie.

— Powoli, powoli, — zbliżyła się do niego. — Wyjadę po załatwieniu z tobą rachunków. Zapłacisz za zmarnowane lata. Odczepne mi tym razem nie wystarczy.

— Przecież ci płaciłem przez cały czas...

— Ty te kilka szmatek nazywasz zapłatą! — urwała guzik szlafroka i rzuciła mu pod nogi. — Zapłacisz o wiele więcej. A jeśli tego nie zrobisz...

— To co? — podniósł się z kanapy.

— Cała okolica dowie się kim jesteś naprawdę. Nie mam powodu oszczędzać siebie. Wszyscy mnie znają. Ale ciebie wyszczują stąd jak parszywego psa!...

Zamierzył się na nią. Nie zdążył opuścić ręki, kiedy uderzyła go w twarz.

— Kładź się i śpij durniu! — popchnęła go na kanapę. — Jutro porozmawiam z tobą na trzeźwo.

Po krótkim areście, dzięki kaucji złożonej przez Margulesa, obaj szwagrowie znaleźli się na wolności. Postanowili nie wracać do swoich domów.

Adwokat Lipszyc biegał od urzędu śledczego do sądu, aby poznać akt oskarżenia i przygotować obronę. Bezpośrednio po rozpoczęciu śledztwa, wprowadzono na mocy decyzji sądu zarząd przymusowy w Bukach i w Uniszkach Murowanych.

Od tej chwili Robowski i Wychnowski byli tylko nominalnymi właścicielami swych majątków. Cała administracja przeszła w ręce czynników rządowych.

Opoźnienie powrotu do domu dziedziców, nie wywołało początkowo zdziwienia. Takie spóźnienia zdarzały się często w przeszłości. Dopiero telefon adwokata Lipszyca postawił wszystkich na nogi.

Pani Cecylia Wychnowska, — wobec nieobecności Izy, która przebywała od kilku dni w Bukach ze Stefcią i jej gośćmi, — wylewała całą swoją gorycz przed służbą.

— Ta podła sanacja! — krzyczała biegając z pokoju do pokoju. — Prześladują nas za to, że jesteśmy zwolennikami Narodowej-Demokracji!...

Po zjawieniu się w Uniszkach dwóch urzędników zarządu przymusowego, dowiedziawszy się kim oni są, nie tylko odmówiła pokazania ksiąg rachunkowych, ale nakazała im opuszczenie domu.

Poproszono ją uprzejmie, aby udała się do swojego pokoju. Przy jego drzwiach, stanął umundurowany policjant.

Wkrótce gruchnęła po okolicy wiadomość, o wytoczeniu obu szwagrom procesu kryminalnego.

Spośród ziemian najspokojniej wieść tę przyjął Jan Zarębski.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło... — uśmiechał się pogodnie, podając żonie sole trzeźwiące i amoniak.

— Na stare lata zgłupiałeś do reszty... — popłakiwała patrząc na niego. — Co ludzie powiedzą? Przecież to są nasi zięciowie...

W Szczerkowie, po burzliwych debatach, zarząd Stronnictwa Narodowego pozbawił Robowskiego i Wychnowskiego członkostwa.

Z budynku "Szczerkowskiego Towarzystwa Rolniczego", ktoś zerwał szyld. Robotnicy zeszli z niewykończonego dachu.

— Nie chcę drugi raz dostać po mordzie, — poinformował ich majster blacharski. — Wczoraj wieczorem ktoś mnie tak trzepnął, że myślałem że mi nos na drugą stronę głowy przeplancował...

W Bukach Stefcia uprosiła Szymka i Penotta, żeby się postarali o przedłużenie urlopu.

Iza, dla której Artur pozostał obcym człowiekiem, żyła jak we śnie.

— Wydaje mi się, że jesteś jakimś cudownym przywidzeniem... — tuliła się do Wacka. Obawiam się że nagle znikniesz i że cię już nigdy nie zobaczę!...

— Nie po to czekałem tyle lat, — zamykał jej usta pocałunkiem, — abym cię miał stracić. Nie opuszczę cię już nigdy...

Ledwie mógł ją powstrzymać od powiedzenia małemu Wacusiowi kto naprawdę jest jego ojcem.

Szymek zaprzyjaźnił się szybko z urzędnikami zarządu przymusowego i dyskutował z nimi nad sposobami naprawienia szkód wyrządzonych Bukom.

— Nie przypuszczaliśmy, że moje studia rolnicze przydadzą się kiedyś w życiu, — mówił do Stefci spacerując z nią po parku.

Chłoneła każde jego słowo, patrzyła na niego szeroko otwartymi, lśniącymi oczami, dreszcz ją przebiegał, gdy ją przypadkowo dotknął.

Buki dla nich wszystkich stały się jakimś zamkniętym światem.

Widoczna w oddali ściana lasu odgradzała ich od reszty kraju jak wał fortecy. Stefcia, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, przecięła druty telefonu. Pani Cecylia wycunowska nie dowołała im wytnienia.

Teraz mieli spokój. Siedzieli do późna w noc w salonie, słuchali gry Suetki i jej spiewu, układali plany na przyszły dzień.

Przed udaniem się na spoczynek Penott szedł do pokoju Izy i klękał przy łóżku małego Wacusia. Przewieszona przez poręcz łóżeczka wisiała szabla. Od chwili, w której mu opowiedział o walkach i szarżach, w jakich brała udział, nie rozstawał się z nią na chwilę.

Po zakończeniu przedłużonego urlopu, obu oficerów wszyscy opuścili Buki.

Iza i Stefcia na kategoryczne żądanie pana Zarębskiego przeniosły się do Krężoła.

— Straciłyśmy majątki, ale znalazłyśmy szczęście! — zaśmiała się radośnie Iza do ojca oczekującego na ganku.

— Hej, hej, ułani! — zmrużył figlarnie oko biorąc je pod rękę i wprowadzając do domu.

Mimo wieku, trzymał się doskonale. Zaczęło mu się powodzić znacznie lepiej, wybrano go do sejmiku powiatowego i namawiano, żeby się zgodził kandydować na — wójta.

— “Zgłupiał i schłopiał”... — konkludowała w myśli swoją opinię o mężu Natalia Zarębska.

Po sześciu miesiącach spędzonych w więzieniu Artur Wychnowski nie powrócił do Uniszek.

Jego brat, adwokat Marceł, uzyskawszy z łatwością pozwolenie na rozparcelowanie części majątku, pospłacał w międzyczasie długi i zaopatrzył go w gotówkę potrzebną na wyjazd za granicę Marceł, uspokoił zrozpaczoną matkę, zapewniając, że po pewnym czasie ludzie zapomną o wszystkim i Artur będzie mógł ponownie gospodarować w Uniszkach.

Iza oczekiwała w Krężołach na wynik rozprawy rozwodowej.

Jej adwokat odbył z Arturem rozmowę w więzieniu i otrzymał od niego potrzebne oświadczenie. Wydane w Rapallo świadectwo dr Bucharda okazało się niespodziewanie bardzo pomocne. Ku zdziwieniu adwokata, Iza zrzekła się wszelkich pretensji materialnych. Zastrzegła sobie tylko przekazanie udziału Artura w “Szczerkowskim Towarzystwie Handlowym”.

Powody tego żądania, znali tylko pan Zarębski i Stefcia.

Robowski, nie poszedł w ślady Artura.

Prośbie, o rozpoczęcie kroków rozwodowych odmówił.

Gdy będę miał pieniądze to kłaniać mi się będą jak dawniej” — myślał.

Powrócił do domu. Nieobecność Stefcia przyjął z zadowoleniem. Postanowił przede wszystkim zlikwidować zarząd przymusowy.

Niepomny smutnych skutków poprzedniej rady Marguleśsa udał się za jego namową do Warszawy w celu uzyskania większej pożyczki. Parcelację uważał za przypiecztowanie kłęski i oburzał się na szwagra, że do niej dopuścił.

Przybywszy do stolicy nawiązał kontakty z urzędnikami kilku banków i zapraszał ich na libacje. Najwięcej nadziei pokładał w pewnym urzędniku Banku Gospodarstwa Krajowego, który zapewniał, że uzyskanie żądanej kwoty nie będzie przedstawiało większych trudności. Niestety, “przyjaciel” tego urzędnika, jeden z dyrektorów Banku, przebywał właśnie na urlopie i należało cierpliwie czekać na jego powrót. Inny, “poufny doradca” P.K.O., także obiecywał przyjacielską pomoc. Libacje trwały bez końca.

Ktoregoś dnia wracając późno do hotelu spotkał się twarzą w twarz z Moniką. Stała na rogu Brackiej i Alei Jerozolimskich. Była elegancko ubrana. Zbliżywszy się do niej poczuł silny zapach perfum.

Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

— Co tu robisz? — zapytała.

— Przyjechałem po pieniądze! — roześmiał się. — Dużo pieniędzy, pragnę ci spłacić dług... — wsunął jej rękę pod ramię.

“Jakaż ona jest piękna” — pomyślał — “Nie ma takiej drugiej na świecie!

Poszli w kierunku Nowego-Świata.

— Masz mieszkanie? — zapytał po chwili.

— Mam. Na Dobrej. Wcale porządne. Chciałam być bliżej Wisły, codziennie chodzę na plażę.

Poczuł, że lekko przyciska jego ramię. Krew napłynęła mu do głowy.

— To może pójdziemy do ciebie? — głos mu zadrzał.

Spojrzała na niego udając żdziwienie.

— A masz pieniądze?

— Jutro przyjeżdża dyrektor banku, który mi je wypłaci.

— Poczekamy do jutra, — odsunęła się od niego. — Możemy się spotkać o dziesiątej wieczorem w tym barze, — wskazała na przeciwległy róg Nowego-Świata.

— Monisiu, dziś! — skamlał.

— Nie kochanku. Jutro.

Przeszła szybko ulicę i poszła Aleją Trzeciego Maja ku Wiśle.

W Banku Gospodarstwa Krajowego, czekał go znajomy urzędnik.

— Ten osioł Kmiecik popsuł całą sprawę, — powiedział odprowadzając go w kąt hallu.

— Co za Kmiecik? — zapytał Robowski.

— Referent spraw pożyczkowych, który miał pańskie podanie. Zasięgnął opinii w Związku Ziemiaków i w Towarzystwie Kredytowym Ziemiakom. Wypadła fatalnie. Podanie załatwiono odmownie.

— Więc nie dostanę pieniędzy? Nie mam nawet na powrotną drogę.

— Nic na to nie poradzę... — urzędnik rozłożył ręce.

Pożegnali się chłodno. Robowski wyszedł z Banku i idąc powoli ulicą, szukał w pamięci kogoś koby mógł mu pomóc. Znał tylko Szymka. Poszedł w kierunku Wierzbowej.

— Pan porucznik jest na lotnisku, — poinformowała go kobieta myjąca korytarz na "kawalerce". — Może pan zatelefonować do niego.

Połączył się z 1-szym pułkiem lotniczym.

Szymek powitał go bez dawnego entuzjazmu. Odbyswał loty ćwiczebne i niedługo miał odlecieć do Torunia.

Starając się udawać wesołość, Robowski powiedział mu, że zgubił portfel prawdopodobnie wysiadając z taksówki i poprosił o pożyczkę.

Szymek, obiecał wysłać zaraz 200 złotych do hotelu.

— Oddaję ci wszystko co mam, — kończył rozmowę, — w toruńskim kasynie na lotnisku mogę zjeść obiad na kredyt...

Przed dziesiątą, Robowski czekał w barze na rogu Nowego Świata i Alei 3 Maja.

Monika się spóźniła. Wypił kilka wódek i patrzył na drzwi.

Zobaczył ją na ulicy. Tuż poza nią szedł wysoki, barczysty mężczyzna.

— Nareszcie! — powitał ją. — Już myślałam, że nie przyjdiesz...

— Dotrzymuję zawsze słowa, — wypila podany jej kieliszek. — Przypuszczam, że i ty tym razem będziesz słowny. Masz pieniądze? — wyjęła lusterko i przypudrowała policzki.

— Mam — skłamał — dużo pieniędzy! — poklepał się po kieszeni.

Monika nieznacznie spojrzała w stronę drzwi i podniosła do góry kieliszek.

— Za twoje zdrowie! — powiedziała głośno.

Kelner postawił talerzyki z sałatką i butelkę jarzebiaku. Monika objęła rolę troskliwej gospodyni. Nalewała kieliszek za kieliszkiem, poszła do bufetu i przyniosła dwie porcje węgorka.

Nie odrywał od niej wzroku. Każdy jej ruch przyprawiał go o zawrót głowy.

— Pójdziemy do ciebie? — zapytał zduszonym głosem.

— Naturalnie. Pójdziemy za chwilę. Hop, hop!!! — roześmiała się.

Jako ostatni opuścili bar po północy.

Szli w stronę Powiśla. Monika, opowiadała mu żywo o swoim życiu w Warszawie, o samotności i tesknocie do niego; o tym, że po otrzymaniu pieniędzy, zamierza otworzyć sklep z kapeluszami damskimi.

— Będziesz mógł wtedy zawsze do mnie zajeżdżać — zapewniała go przysmilnie.

Zeszli po schodkach z wiaduktu i znaleźli się nad Wisłą.

Było tu pusto. W oddali jakiś samotny przechodzień skręcił za róg ulicy.

W pewnej chwili Robowski usłyszał szybkie kroki za sobą.

Nie zdążył się odwrócić kiedy czyjeś ramię ujęło go brutalnie za kark.

Ktoś rozerwał mu marynarkę i sięgnął po portfel.

— Monisiu! — zacharczał.

Wcisnąwszy się do ust knebel zdusił okrzyk. Z wysiłkiem wyrwał się i uderzył napastnika na oślep.

Poczuł szalony ból z tyłu czaszki, stracił równowagę i runął na wznak.

32.

PENOTT NIE LUBI FILOZOFII

Lecąc "Potezem" do Torunia, Szymek Perkowski myślał o telefonie Robowskiego.

Wiedział z listu Stefci o jego odmowie rozwodu, wiedział także o konieczności odbycia z nim decydującej rozmowy.

Przed wyjazdem z Buków poinformował pana Zaremskiego o swoich zamiarach. Ojciec Stefci, nie tylko przyjął wiadomość z radością, ale obiecał pomoc finansową, jeżeli zajdzie potrzeba.

W Toruniu miał spędzić tylko godzinę i powrócić zaraz do Warszawy.

"Doskonała okazja, żeby ostatecznie wyjaśnić sprawę.." — myślał.

Wieczorem udał się do Hotelu Royal, gdzie poprzednio wysłał Robowskiemu pieniądze. Powiedziano mu, że Robowski nie spał w swoim pokoju i że go nie widziano cały dzień... Następnego dnia rano na zapytanie telefoniczne otrzymał taką samą odpowiedź. Bezpośrednio potem poprosił znajomego komisarza policji o przeprowadzenie dyskretnych dochodzeń. Po południu, otrzymał wiadomość, że rewizja przeprowadzona w pokoju hotelowym pozwala wnioskować iż Robowski nie miał zamiaru bezwzględnego wyjazdu. Walizka była rozpakowana, na stole znaleziono telegram adresowany do niejakiego Margulesa w Kielcach. Domagał się natychmiastowego przysłania pieniędzy. Komisarz radził, pojechać do prosektorium.

Szymek poszedł tam w przerwie obiadowej i bez trudu rozpoznał zwłoki Robowskiego.

W książce raportów dziennych odczytał: "Mężczyzna lat około trzydziestu. Prawdopodobna przyczyna śmierci: upadek w stanie zamroczenia alkoholem z nadbrzeża i uderzenie tyłem czaszki o kamień.

Przy zmarłym nie znaleziono żadnych dokumentów osobistych ani też pieniędzy."

W drodze powrotnej na lotnisko, Szymek nadał z Poczty Głównej telegramy do Buków i Krężoła.

Jak zwykle w sobotę spotkali się z Penottem na kolacji w kasynie oficerskim. Penott, przydzielony do Departamentu Kawalerii w Ministerstwie Spraw Wojskowych, przebywał stale w Warszawie. Zauważywszy, że Szymek jest bardzo zgnębiony zamówił wódkę.

— Przysłowia są mądrością narodów, — powiedział. — "Na frasunek dobry trunek".

Dowiedziawszy się o smutnym końcu Robowskiego sypał dalej przysłowiami.

— "Co się odwlecze, to nie uciecze", "Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie", "Kto mieczem wojuje ten od miecza ginie"... Dopóty dzban wodę nosi póki się ucho nie urwie.

— Znałem go od dziecka... — westchnął Szymek.

Penott nalał mu wódki.

— W życiu, mój kochany, jest tak: giną najporządniejsi ludzie i najwięksi dranie. Zostaje "środek". Takie miernoty jak — my. Nie mniej — ciągnął — jest ktoś tam u góry, kto rządzi sprawiedliwie. Dlatego nie lubię żadnych filozofii. Wierzę, że żyjąc uczciwie spełniam swój obowiązek. Niech tam mnie sądzą u góry. Czy myślisz na przykład, że odnalezienie przeze mnie Izy i synka nie było zrzędzeniem Opatrzności? A to wszystko co się z nami teraz dzieje przychodzi ni z tego ni z owego? Szymku, bracie drogi — poklepał go po ramieniu. — Jest tam ktoś nad nami, kto wie co robi...

Szymek odsunął kieliszek.

— Poproszę o zwolnienie na kilka dni i pojedę do Krężołów — powiedział.

— To rozumiem! — wykrzyknął Penott. — Dam ci pudełko czekoladek dla Izy i trzy książeczki dla Wacusia.

— A ja zabiorę "Jesień" Czajkowskiego, o którą prosiła Stefcia.

— Jesień? — oburzył się Penott, — a nie skomponował przypadkiem wiosny?!...

— Jeżeli mi nie dadzą zwolnienia zrzucę wszystko z samolotu. Mógłbym nawet wylądować na łące.

— I pójść do paki! — roześmiał się Penott. — Już ja tam obrobię twojego starego. Telefon z Ministerstwa zawsze coś znaczy.

Podczas trzydniowego pobytu w Krężołach, Szymek tylko krótko, wieczorami, mógł widzieć Stefcię i Izę. Pan Jan Zarębski wziął go pod swoje skrzydła.

Zaraz pierwszego dnia pojechali do Buków. Nastrój tu panował prawie świąteczny.

Chodząc po pokojach stary Andrzej mruzczał:

— Jakie życie, taka śmierć. Wstyd tu być służyć...

Zarębski, — widocznie omówiwszy sprawę z żoną, — polecił odnowić i przemeblować cały dom. Gabinet, z którym były związane najprzykryjsze wspomnienia, zlikwidowano. W tym miejscu, po przeróbce części dachu, miała powstać oranżeria. Sypialny postanowiono przenieść na "górze" i urządzić go w dwóch połączonych ze sobą gościnnych pokojach.

Konferencja z urzędnikami zarządu przymusowego, przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. W międzyczasie, porozumiano się telefonicznie z firmą parcelacyjną w Kielcach. Pola, leżące daleko za lasem, przeznaczono na parcelację. W tych sprawach Zarębski miał doświadczenie, bowiem ta sa-

ma firma prowadziła w tej chwili parcelację jego folwarku — Wolic.

Pozostawała sprawa, powrotu Pliszki i Marciniaka.

Następnego dnia, Szymek pojechał do Szczerkowa.

Pliszka, który się zakochał w spółdzielni, oświadczył, że grzechem było by opuszczać ją w chwili rozbudowy. Przyrzekł jednak przyjeżdżać do Buków w każdą niedzielę i udzielać potrzebnych wskazówek.

Po omówieniu z prezesem zarządu Krajkowskim kwestii "odstąpienia" Marciniaka, doszli do przekonania, że jego obecność w Bukach jest najważniejsza i postanowili udać się na Zarzecze.

— Jak mi pan porucznik nie każe latać aeroplanem, to już jadę! — oświadczył Marciniak.

Oczy mu się śmiały, tęsknił do lasu.

Miał zamieszkać nie jak dawniej w leśniczówce, ale w rządówce żeby być bliżej dworu.

Ostatniego dnia pobytu Zarębski odbył długą rozmowę z Szymkiem.

Sprawa jego małżeństwo ze Stefcią nie nastęrczała trudności.

Natomiast rozwód Izy, mimo optymistycznych przewidywań adwokata, okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Papiery rozwodowe przekazano do Rzymu. Tam miała zapaść decyzja. To—między innymi, — było zasadniczym powodem parcelacji Wolic. Zarębski się zawziął i nie żałował kosztów, żeby Izie umożliwić połączenie z Wackiem Penottem.

Z żoną, dał sobie radę nieprzewidzianie łatwo. Pomogła mu w tym wydatnie mademoiselle Champière, będąca pod urokiem obu oficerów. Szymek, mówiący płynnie po francusku, był jej ulubieńcem.

Podczas rozmowy Szymka z panem Zarębskim, obie pańki siedziały w saloniku.

Pani Natalia, która nigdy należycie nie opanowała francuskiego mówiła swoim specjalnym językiem. Mademoiselle Champière, znając polski doskonale, wtrącała do francuszczyzny słowa polskie.

— Mon mari c'est un enfant... — pani Natalia odłożyła wyszywaną serwetkę i sięgnęła do koszyczka po nici.

— Ma chere Natalie, votre Jean, to wielkie serce — zaoponowała mademoiselle Champière.

— La coeur oui, — ale rozum. É bien, co on robi? Tousjours z chłopami. W rezultacie co się stało ze Stefanie i z Izabelle? Jedna owdowiała, druga się rozwodzi.

— C'est la vie...

— A co teraz? Jeden z narzeczonych jak przyjedzie do Krężoła to tylko cheval. Skacze przez najszersze rowy. Skręci kark i c'est fini. Drugi lata. Mówiono mi, że jak śmigło samolotu trafi we wróbla to może pęknąć i cały kram zwała się na terre. Mało to mamy wróbli?

— Bon Dieu będzie się nimi opiekował... — uspokajała ją mademoiselle Champière.

Wspominając jej powiedzenie pani Natalia modliła się w kościele, aby "Bon Dieu" usuwał wszystkie wróble sprzed samolotu Szymką i aby koń Wacka nigdy się nie potknął.

W gruncie rzeczy była zadowolona: obawiała się, że "zdziecinniały" na starość małżonek będzie chciał wydać córki za chłopów.

Równocześnie zajęta była myślami o ślubach. Iza i Stefcia, postanowiły, że klękną przed ołtarzem razem. Kiedy to nastąpi nie wiedziała. Na wszelki wypadek, przygotowywała słoje konfitur, gąsiorki nalewek i pochwaliła Andrzeja, kiedy jej powiedział, że uchronił od pogromu w Bukach kilkanaście butelek stuletniego tokaju.

— Bon Dieu — szeptała, — żeby tylko ten wróbel... żeby tylko ten wierchowiec... Żeby ten Papeż w Rzymie...
"Bon Dieu" jej wysłuchał.

Na usilne prośby Zaremskiego Szymek zdecydował się złożyć podanie o przeniesienie do rezerwy.

Miał zamieszkać w Bukach. "Będę blisko Stefci" — myślał. Oczekiwały go najpiękniejsze dni w życiu.

Jakiegoż to pióra trzeba, aby cię opisać BRZOZO POLSKA?
Jakież to poeta, zdolny jest opiewać twoje piękno, WIERZBO
PŁACZĄCA nad strumieniem?

Coby za to dał tułacz, przemierzający szlaki świata, aby móc iść DROGĄ, między polami umajonymi "zbożem rozmaitem", klęknąć przed przydrożną kapliczką i hymnem wdzięczności dziękować TEMU, który stworzył tę ziemię cudowną.

Mały i bezradny jest człowiek, który staje ośniony promieniami słońca, spływającymi na Twe lasy i łąny, na haki i rzeki, na wieże kościołów, na strzechy słomiane.

Tylko mistrz nad mistrze potrafił cię przytulić do siebie wierszem i oddać bicie TWOJEGO serca.

Tylko mistrz nad mistrze wsłuchał się w powiew wiatru pomiędzy konarami, w wieczorny świergot ptaków, w tony pastuszej fujarki i przekazał je potomności melodią.

Biedny kto może tylko nieudolnie powiedzieć, że CIĘ widzi BRZOZO bielejąca wśród sosen, że CIĘ słyszy WIERZBO szumiąca wiatrem nad wodą.

Że was nie zapomni do końca życia.

Że was kocha miłością wierną i niezachwianą.

Te oto słowa kilkanaście lat później zapisał w swoim pamiętniku Szymek Perkowski.

Teraz szedł pogodny, drogą ku leśniczówce.

Miał wrażenie, że las wita go uśmiechem, wiedząc, że idzie mu na ratunek.

Nie słychać było rżenia zamarych tartaków. Zamieniły się na składnice narzędzi i nasion. Z oddali dochodził odgłos siekier: robotnicy oczyszczali poręby z pieńków.

Ze szkółek jechały wozy z sadzonkami.

Buki podnosiły się z upadku.

Wieś polska w swoim przywiązaniu do ziemi zacierała granice własności. Na pomoc Szymkowi ruszyła cała okolica. Zdumiał się któregoś ranka zobaczywszy na podwórzu szereg wo-

zów. Chłopi okoliczni, bez wezwania, z własnej woli, przyjechali pomagać w oczyszczeniu lasów.

Kiedy ich zapytał jakiej żądają zapłaty odpowiedzieli:

— Zapłoci nam pon porucznik jak z tych zagajników piękny los wyrosnie.

“Chyba to robią dla Stefci...” — myślał. — “Mnie przecież nie znają”.

Kłękł do wieczornej modlitwy ze ściśniętym gardłem.

Penott, po “inspekcji” jak żartobliwie nazwał swoją wizytę, powiedział:

— Byłem niedawno w Gdyni. A teraz tu. I powiadam ci Szymku, bracie kochany, że będziemy mieli czego bronić.

Nic nie zapowiadało tej potrzeby. Jeszcze wiele dni pracowitych mieli przed sobą.

“Rady wojenne” w Bukaciu odbywały się co niedzielę. Po sumie Szymek zabierał ze Szczerkowa Pliszkę i zjadłszy obiad zasiadali z Marciniakiem do dłuższej rozmowy.

Jednej z takich niedziel pan Pliszka zagał dyskusję.

— Z łaski Pana Boga, — rozpoczął swoje wywody — Buki mają ziemie rozmaite. Mówił pan porucznik o tym słodkim hubinie. Nigdy go nie siałem. Ale można spróbować za Piotrowskimi Górami. Grunta tam są przypiaskowe, obsychają szybko, wczesną wiosną gotowe już do uprawy.

— Podobno słodki hubin to doskonała pasza dla ryb — wtrącił Marciniak, który lubował się w rybołówstwie.

— Już ty Staszku pilnuj lasów — obruszył się Pliszka — Ryby zostaw Andrzejowi. Jak pani Stefania przyjedzie to mu natrze uszów. Cały dzień siedzi nad stawami. Jeden nicpoń wystarczy.

— A co pan myśli o kukurydzy? — przerwał mu z uśmiechem Szymek.

— Ano, czytałem tą broszurę profesora Niklewskiego, którą mi pan dał — odpowiedział Pliszka. Dwadzieścia i pięć centnarów z morgi, wierzyć mi się nie chce! Białka cprawda ma mało, ale i tak pasza znakomita. Jeśli ta odmiana “Niklas” nada się na nasz klimat tak jak w Poznańskim, to może przewrócić do góry nogami całą moją ekonomię.

— Więc godzi się pan, żeby spróbować?

— Naturalnie. Ale powolutku. Zaczniemy od jednego hektara.

— To ja przygotuję “kosznicę” do suszenia kaczanów, — wtrącił Marciniak.

— Widzę, że i ty możesz na coś się przydać... — pochwalił przyjaciela Pliszka.

— A teraz może pomówimy o ogórkach — zaproponował Szymek.

— Doskonały pomysł tej małej fabryczki konserw, — przytaknął Pliszka. — Przywożem nawet odpowiednie przepisy, — sięgnął do kieszeni i położył na stole plik papierów. — Tak jak pan porucznik projektuje można zacząć robić pięciokilowe puszki. Zawierać będą 8-centymetrowe ogórki monasterskie. Sęk w tym, że podczas zbioru znajdzie się duża ilość przerosłów. Otóż myślę, że można je ładować do beczek. Te ogórki z beczi z przyjemnością sprzeda nasza spółdzielnia.

— Wyszło sztydło z beczi... — mruknął Marciniak.

— No i jak tu można poważnie z nim rozmawiać, — powiedział Pliszka. — Niech mu pan porucznik każe jechać do lasu! Pojechali wszyscy razem.

Tutaj dopiero Marciniak rozgadał się na dobre a Pliszka nie znalazł argumentów do krytyki.

— A wiesz jak się konserwuje szyszki? — uśmiechnął się pod wąsem.

— Jak je twoja spółdzielnia potrafi sprzedać, to mogę dostarczyć nawet faszerowanych żołądki — odciął się Marciniak. — Ale ja ci pokażę coś innego.

Weszli do nieczynnego tartaku.

Przez całą jego długość, powieszzone na sznurkach, widniały wianki grzybów.

“Bukowska Spółdzielnia Prawdzików”! — zaśmiał się Marciniak. — Ale to nie wszystko. W drugim tartaku mam spółdzielnię jagód. Już na przyszły rok będziesz się mógł urządzić bukowskim winem!

— Nigdy nie przypuszczałem, że ten chłop ma rozum... — bąknął zdumiony Pliszka.

— Próbowałem soki. Są znakomite! — dobił go Szymek.

Płynęły spokojnie dnie w Bukach.

Wieczorami Szymek jeździł do Krężoła i zwierzał się Stefci ze swoich planów. Był nieco rozczarowany, że się nigdy z nim nie sprzeczała. Wszystko co robił, — wedle jej zdania — było doskonałe.

Pani Natalia natomiast gderała na porządki w bukowskim dworze.

— Andrzej skapcaniał do reszty, — kiwała smutnie głową. — Kiedy ostatni raz byłam — więcierze suszyły się w przedpojoju. Kancelaria zawalona była próbkami soków. Zapachy jak w aptece. Jak trzepnęłam w fotel, myślałam, że się uduszę od kurzu...

— Niech mama się uspokoi, — pocieszała ją Stefcia. — Może już niedługo zjawię się tam na stałe, wtedy wszystko uprządkuję...

— Mon Dieu... — wzdychała pani Zaremska. — Żeby tylko ten Papież w Rzymie...

Odezwał się i Papież.

Wyznaczono datę “podwójnego” ślubu.

Ślub obu córek, miał być cichy i skromny.

Zaproszono tylko najbliższych przyjaciół. Kiedy pani Zaremska przed wyjazdem do Kościoła naliczyła sześćdziesiąt krzesel przy stole była niesłychanie poruszona.

— Miało być nie więcej niż trzydzieści osób, — dziwiła się — a tu tyle krzesel... Kogo on tu nasprawdza? — zadawała sobie pytanie.

W powozie nie dawała mężowi spokoju.

— Szwadron ułanów przyleci aeroplanami? — indagowała go z niepokojem,

— Sami sąsiedzi, sami sąsiedzi... — powtarzał w odpowiedzi bez końca.

“Teraz to już zwariował na dobre” — myślała. — “Na pewno pocapraszał chłopów!”

— “Z małej chmury, duży deszcz”, — rzekł pan Zaremski na widok gromady ludzi stojących przed kościołem w Szczerkowie.

— Jeśli to wszystko są twoi sąsiedzi, — jęknęła wysiadając z powodu, — to ja po ślubie kładę się do łóżka.

Widok, zbliżających się do nich Stefci i Izy, oderwał ją od ponurych myśli.

— To są... moje córki? — wyszeptwała zdumiona. Jak z bajki...

Miała rację.

Tylko wiesz, tylko poranna pieśczoła słońca, tylko rosa opadająca na policzki mogła stworzyć takie istoty.

Ludziom stojącym przed kościołem dech zamarł w piersiach.

Jakaś mała dziewczynka podeszła do Stefci, i nie zdając sobie zapewne sprawy z tego co robi, pocałowała ją w rękę.

— Pani jak z obrazka... — wyszeptwała.

Stefcia uniosła ją z ziemi i oddała pocałunek.

Pani Natalia stała bez słowa patrząc na córki. Po chwili, przeniosła wzrok na męża.

“I to ja przy pomocy tego cymbała wydałam na świat takie panny”... — medytowała.

“Cymbał” tymczasem był nastrojony na najwyższe tony: mając z jednej strony Wacka ubranego w mundur i szasery z amarantowymi lampasami, a z drugiej Szymka, który pragnąc podkreślić, że jest już tylko cywilem, był we fraku, — przedstawiał wszystkim przyszłych zięciów. Śmiał się przy tym głośno i gestykułował.

— Boże drogi, co za maniery! — mruzczała patrząc na niego pani Natalia.

Rozległ się dzwonek sygnaturki.

Pan Zaremski wziął obie córki pod ręce i poprowadził do kościoła.

Przed wielkim ołtarzem, oczekiwał ks. kanonik Szczepański w asyście dwóch wikarych.

Obie pary klękły na stopniach.

Gdzieś, ponad Kościołem dał się słyszeć odgłos lecących samolotów.

Pierwszy pułk lotniczy pamiętał o swoim pilocie.

Z chóru popłynęły dźwięki “Veni Creator”.

Po ślubie oczekiwała panią Natalię Zaremską nowa niespodzianka.

— Nie wsiadaj do powozu, — powstrzymał ją Zaremski, — pójdziemy na chwileczkę gdzie indziej...

Zobaczyła, że ludzie ustawiają się przed kościołem jakby do pochodu.

Na czele stał przybrany w komżę ksiądz kanonik Szczepański. Obok niego postępował burmistrz Szczerkowa Lubodzicki, przezywany także “Kozim Łojem” z powodu apteki, której był właścicielem.

Wyglądał dostojnie. Złoty łańcuch z herbem Szczerkowa zdobił jego szeroką pierś.

Pochód, idący w kierunku budynku "Szczerkowskiego Towarzystwa Handlowego", zatrzymał się na chwilę. Ludzie zadarli głowy do góry i obserwowali ewolucję trzech samolotów. W pewnej chwili oderwały się od nich małe spadochroniki i zaczęły opadać do ziemi. Kilku wyrostków pobiegło aby je odnaleźć między domami.

Przed gmachem "Towarzystwa Handlowego" oczekiwali kilku odświętnie ubranych panów.

Weszli do obszernego, jasnego przedsionka.

Po jego lewej stronie widniały, przymocowane do ściany ukosem, dwie biało-czerwone chorągwie, spięte wstęgą.

Ks. kan. Szczepański w otoczeniu kilku osób udał się w głąb gmachu, aby go poświęcić.

W międzyczasie cały przedsionek zapełnił się ludźmi.

Kiedy ks. Szczepański powrócił, burmistrz podszedł do chorągwi.

W tej chwili ktoś głośno kichnął.

Burmistrz dostrzegłszy, że pan Krajkowski wyciąga chustkę i wyciera nos, przybrał groźną minę.

— Proszę mi nie przerywać! Tu nie rada miejska! — zawołał do Krajkowskiego, który musiał mu dobrze nadokuczać podczas posiedzeń na Ratuszu.

— Szanowni państwo! — skłonił się. — Mówca to ja nie jestem. Tak się szczęśliwie złożyło, że kto inny za mnie przemówi.

Wyjął z kieszeni nożyczki i przeciął wstęgę.

Chorągwie spadły na boki, ukazując marmurową tablicę.

— Niech te słowa powiedzą wam czcigodni państwo, — wzniosł rękę ku górze, — niech mówią naszym wnukom i prawnukom, że na tej ziemi żyły dwie istoty, które im swoją myśl serdeczną poświęciły.

Wszystkie oczy, skupiły się na odsłoniętej tablicy.

Głos dziecięcy zaczął szeptem czytać:

STEFANII Z ZAREMBSKICH PERKOWSKIEJ

oraz

IZABELLI Z ZAREMBSKICH PENOTTOWEJ

FUNDATORKOM GMACHU GIMNAZJUM IMIENIA WŁADY-
SŁAWA REYMONTA W SZCZERKOWIE,
OFIAROWUJE W DNIU ICH ŚLUBU, ODBYTEGO DNIA 28
KWIETNIA 1927 ROKU, WDZIFCZNA MŁODZIEŻ
SZCZERKOWSKA.

Z szeroko otwartych drzwi górnej sali rozległy się dźwięki fanfar.

— Powinieneś sprowadzić trębaczy od szwoleżerów... — Szymek nachylił się do ucha Penotta. — Falszują okrutnie...

Gdy fanfary zamilkły z górnej sali dobiegł silny głos:

— Pyza, koniu Boży! Ile razy ci mówiłem, że nie d - mol, tylko fis!

— Konia mi tu obrażają, — burknął Wacek Penott.

— Nie konia, ale osła, — poprawił go Szymek.

Burmistrz Lubodzicki patrzył przez chwilę na tablicę, po czym odwrócił się ku zebranym.

— Po wielu latach — ciągnął przemówienie, — marzenia Szczerkowa się spełniły. Spełniły się dzięki darowi szlachcianek, które to gimnazjum uczliły imieniem autora "Chłopów".

Biedni są mieszkańcy Szczerkowa. Jako prezent ślubny mogą wam złożyć, drogie panie, tylko trwałą i wierną miłość swoich serc.

To miasto będzie pamiętało o was długie lata.

Burmistrz Lubodzicki zwrócił się ku państwu Zarębskim.

— Nie zapomni także o rodzicach, którzy takie dzieci wychowali.

Pani Natalia pochyliła głowę i zaczęła czegoś szukać w torbce.

Chłopaczek w krakowskiej kierezji i dziewczynka w kieleckich pasiakach podeszli do Stefci i Izy i podali im naręcza kwiatów.

Fanfary zabrzmiały powtórnie.

Tym razem Pyza grał bez błędu.

Przed domem rozległ się huk detonacji.

— Poligon w Biedrusku? — Penott uniósł się na palcach, pragnąc zobaczyć co się dzieje.

Nie był to poligon: ciężarówka "Szczerkowskiej Spółdzielni Rolników" zatrzymała się opodal. Podniecony kierowca wyłączył motor i włączył go ponownie. Gazy rozerwały tłumik.

Szymek przeciśnął się do Stefci. Oczy miała pełne łez.

— Bój się bidy! — zawołał. — Już żałujesz że nas ksiądz związał stulą?!

— I Iza beczy... — Wacek Penott wziął żonę pod rękę.

Odwrócili się obaj usłyszawszy za sobą donośne łkanie: pani Natalia Zarębska trzymała chustkę przy oczach.

— To wszystko przez niego... — wskazała ruchem głowy męża. — Nie uprzedził mnie; o niczym mi nie mówił... Dopiero jak go podagra łamie to mnie woła!...

Wyszedszy przed dom, zauważyła, że pan Pliszka pomaga ładować się na ciężarówkę spółdzielni gromadzie przyjaciół. Burmistrz Lubodzicki i pan Krajkowski umocowywali na niej ławki.

— Acha, — wykrzyknęła — "sąsiedzi" jadą do Krężo! — świat się przewraca do góry nogami... — podała ręce Szymkowi i Wackowi gramoląc się do powozu.

Świat się nie przewrócił. Przewróciła się natomiast ciężarówka na grobli tuż przed wsią. Zapadała się powoli w błoto, jej pasażerowie wyskakiwali pokrzykując wesoło, na drugą, suchą stronę drogi. Tylko pan Lubodzicki, — który szczycił się tym, że jest indywidualistą, znalazł się w stawie i zasiadł do uczyty weselnej w ubraniu pana Zarębskiego.

— Takie masz porządki u siebie... — gderала pani Natalia na męża. — Mógł się utopić i nie mielibyśmy apteki...

Obiad w Krężołach odbył się zgodnie ze wszystkimi wymaganiami tradycji.

Młode pary siedziały naprzeciw siebie, po środku stołu. Na jego krańcach zasiedli pan Zarębski i pani Natalia. Tuż obok niej znalazł się pan Krajkowski. Nieodłączni Pliszka i Marciński, przedzieleni byli tym razem ziemianami z sąsiedztwa. Ci ostatni początkowo czuli się nieswojo. Wkrótce jednak, po pierwszych toastach, poweseleli, jak się wydało pani Zarębskiej — w za szybkim tempie, śmieli się i dowcipkowali przekomarżając się z panem Pliszką, któremu zarzucano że spółdzielnia zarabia za dużo na superfosfacie i saetrze.

Zaszczyt odczytania telegramów gratulacyjnych przypadł burmistrzowi Lubodziickiemu.

— Karpie mi wystraszył... — burknął Marcinlak, wspominając jego skok do stawu.

Pierwszy telegram, wzbudził ogólne poruszenie: poza podpisem wysyłającego, zawierał imiona jego żony i dwóch córek.

Podczas czytania telegramów Iza niespokojnie rozglądała się po pokoju. Przy stole nie było Wacusia. Kiedy pan Zarębski zauważył jej niepokój, zbliżył się ku niej.

— Szukasz Wacusia? — zapytał. — Jest w stajni. Dałem mu dziś kuca.

Przy deserze Andrzej, który komenderował służbą, zaczął nalewać z namaszczeniem do kieliszków bukowski tokaj.

— Życie tyle lat, ile liczy sobie to wino! — ksiądz kanonik Szczepański uniósł kielich.

Po obiedzie wszyscy przeszli do salonu, z którego wychodziły szerokie drzwi na werandę.

Mademoiselle Champière zasiadła do fortepianu.

Słońce kryło się za drzewami parku, kiedy przyszedł czas na rozstanie.

Wyciągnięta z błota, umyta i przybrana zielenią ciężarówka "Szczerkowskiej Spółdzielni Rolników" wyruszyła w drogę płosząc swoim hukiem konie stojących poza nią ekwipaży.

Penott z Izą i Wacusem zajęli miejsca w małym "Fiacie" Wacka.

Dziedzinec już pustoszał, kiedy przed ganek zajechał Mateusz.

Czapkę miał zsuniętą na bakier i z trudem ściągnął lejce.

— Hej, koniki, koniki, moje wy kaštany,

Jedźcie panna młoda, a z nią — ukochany!!!

— ryknął na całe gardło.

Starając się strzelić z bata stracił równowagę i żeby nie Szymek, który szybko podbiegł, zwałiby się na ziemię.

— Aleś go ugościł! — pani Zarębska spojrzała z wyrzutem na męża, stojącego z butelką wódki w ręku na schodach.

Szymek pomógł Mateuszowi usadzić się obok Stefci w powozie i sam wskoczył na kozioł.

Strzelił z bata i zaśpiewał:

— Jada prostą drogą,

Galopa i klusa,

A na kozle Szymon,

Zamiast Mateusa!!! —

Powóz ruszył i zniknął w bramie wjazdowej.

Mademoiselle Champière i Zarębscy stali przed domem.

Od strony czworaków słychać było śpiewy i pokrzykiwania.

W oddali, na stawach, rechotały żaby. Zmrok całunem ogarnął wieś.

Pani Natalia usiadła na ławce stojącej na ganku i wskazała mademoiselle Champière miejsce obok siebie.

— Ma chère Charlotte, — powiedziała po chwili zastanowienia, — "oni" się lepiej zachowują od niejednego hrabiego!

— Mais oui, mais oui!.. — przyznała Francuzka.

— A mówiono mi, że jedzą nożem i cheszą się widelcem. Niczego podobnego nie zauważam, — pokręciła głową. — Ten Szymek — ciągnęła — ma zdolności poetyckie. Słyszałam go

już dawniej jak deklamował. A dziś, tak od razu: "Jadą prostą drogą..." — zanuciła. On poeta, ona pianistką. Dokąd zjadą?
— Bon Dieu ich nie opuści... — powiedziała z przekonaniem mademoiselle Champiére.

* * *

Pan Zarębski wszedł do sypialni.

— Jakże ci się podobało wesele, Natalio? — zapytał.

Podeszła do niego.

— Oj, Jasku, Jasku, — objęła go za szyję, — przypomniała mi się nasza młodość. Jak szybko minęła...

Widząc łzy w jej oczach, Zarębski zmienił szybko temat.

— A co powiesz o "sasiadach"?

— Bardzo mili ludzie — odrzekła. — Na naszym weselu wyzywali się na pojedynki, oni nie zbili ani jednego talerza...

Okazało się nieco później, że oczarował ją pan Krajkowski.

Kazała sobie tłumaczyć co to jest socjalizm.

Nie zrobiła mężowi już nigdy wymówki za to, że się zapisał do "Piasta".

36.

WSI SPOKOJNA!

Zmiany zachodzące w Bukach i w okolicy mogli najlepiej zauważyć Penottowie przyjeżdżający z Warszawy na wakacje i na święta Bożego Narodzenia.

Dzięki wieloletniemu premierostwu przez człowieka, który jak nie był mężem stanu był doskonałym administratorem, miasteczka i wsie wyglądały schludnie. Budowano nowe, doskonałe drogi, szkoły wiejskie z chałup prznosiły się jedna za drugą do własnych budynków. Doniosłą rolę w mozolnym postępie odgrywał samorząd miejski i wiejski. Coraz mniej słychać było na zebraniach o polityce, coraz więcej poświęcano czasu problemom gospodarczym.

Towarzystwa kółek rolniczych i wojewódzkie izby rolnicze przywoziły — rolnikom. W prowincjonalnych gimnazjach organizowano uniwersytety ludowe. Ich wykładowcy, w pogodę czy słotę, docierali do zapadłych wsi.

Mało kto o nich wiedział, nikt im za ich pracę nie dziękował.

Koła gospodyń wiejskich skupiały kobiety. Ich instruktorki, dźwigały czasem na plecach inkubatory i brnęły od wsi do wsi wyjaśniając jak można szybko podnieść produkcję jaj i drobiu.

Przed spółdzielniami mleczarskimi co rano widać było długie szeregi wozów z konwiami mleka.

Narzekano na wiele rzeczy; nie można było w Polsce narzekać na głód.

Dużo jeszcze było do zrobienia. Przed całym krajem stał ogrom pracy.

Boże Narodzenie spędzali Wackowie Penottowie w Bukach. Oczekiwał ich tutaj Wacusz, przebywający stale w Szczerkowie, gdzie uczęszczał do gimnazjum im. W. Reymonta.

Na wilię i w drugi dzień świąt wszyscy jechali do Krężoł. W

tym dniu, — św. Jana Ewangelisty, — przypadały imieniny pana Zarębskiego, które obchodzono bardzo uprościwie.

Zjeżdżała się na nie cała rodzina. Z Zakopanem zjawiała się Anielka, która zarządzała tam niewielkim pensjonatem, i od jego nazwy, została przezwaną "Stokrótka". Urszulanki, Tereska i Hela, przybywały z dalekiego Poznania.

Brama wjazdowa w Krężołach, którą nazywano "wrotami do świata i ze świata wiodącymi", otwierała się raz za razem.

Pierwszy dzień świąt, był troską Stefci.

Tego dnia wieczorem, dwór w Bukach wypełniał się nie tylko gośćmi. Po kolacji, zjawiała się na galerii, biegnącej dookoła salonu, cała służba majątku.

Szymek przy pomocy stelmacha, zmajstrował scenę teatralną. Stefcią uszyła kurtynę. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia "teatr" w Bukach dawał swoje jedyne przedstawienie.

Kiedy pewnego roku zjawił się "prawdziwy" dyrektor teatru z Warszawy nie mógł się nadziwić oryginalnym pomysłem i znakomitej grze wykonawców.

Wacek, aczkolwiek sam nie występował na scenie, spełniał w tym "teatrze" bardzo ważną funkcję. Wymontowywał boczny reflektor ze swojego "Fiata" i z galerii w odpowiednim momencie rzucał snopy różnokolorowego światła na scenę.

— Pon major, to jak carodzie! — szeptały stojące obok niego na galerii dziewczuchy.

Duszą "teatru" był Szymek. Przerabiał i skracał sztuki, sam napisał kilka jednoaktówek, rozsyłał zawczasu sąsiadom role, molestował Iżę o wypożyczanie kostiumów w Warszawie.

Ilustracja muzyczna była dziełem Stefci. Wykonywały ją na cztery ręce z mademoiselle Champiére.

Raz, porwali się nawet na odtworzenie kilku scen ze "Straszneho Dworu"!

Wtedy to, ukazał się na scenie Wacek Penott, posiadający piękny tenor.

W przerwie arii "Z Kurantem", gdy zegar zaczął wybijać północ na galerii rozległ się pisk:

— Loboga! Stroch mnie scypie!...

— A dyć to tylko Bartek... — uspokoił dziewczuchę stary Mateusz.

Pomimo zmiany przekonań pani Natalia Zarębska kazała Andrzejowi długo wietrzyć salon po przedstawieniu.

— Nasi widzowie są nerwowi... — przytykała do nosa chusteczkę, odbicie skropioną perfumami.

Penottowie, skostawali w Bukach aż do Trzech Króli. W tym czasie, wieczorami, toczyły się poważniejsze dyskusje. Przewodził im pan Jan Zarębski.

— Cóż tam panie w polityce? — zwracał się do Wacka, którego podejrzewał, że wśród dawnych kolegów, a obecnych dygnitarzy, ma wielu przyjaciół.

— Nic specjalnego, — wykręcał się Pennot. — Opracowujemy nowy regulamin dla kawalerii.

— Nie o to chodzi, nie, o to, — podsuwał mu pudełko z papierosami. — Ci panowie u góry coraz bardziej oddalają się od Narodu. Musi ktoś im powiedzieć, że na dalszą metę, daleko nie ujadą.

— Co ojciec ma na myśli? — zapytywał Szymek, który zetknawszy się z rzeczywistością codziennego "cywilnego" życia także miał wiele zastrzeżeń co do rządów swoich byłych kolegów.

— No weźmy chociaż wyrok na Witosa. — Zarębski rozkładał ręce. — Premier rządu sprawującego władzę w najtragiczniejszej chwili jakąśmy przeżyli, człowiek o nieskazitelnej uczciwości, chłop o rozumie przewyższającym setki inteligentów, skazany! Za co? Za to że miał śmiałość wypowiedzieć swoje zdanie? Żyje teraz na wygnaniu. I to gdzie: w Czechach! Wypowiadacie że to demokracja!

— Nic nie mówimy... — bąknął Wacek.

— Albo ta Bereza! — ciągnął pan Zarębski. — Bez wyroku sądu, prawdopodobnie bez powodu, aresztuje się ludzi.

Penott zaprzeczył ruchem głowy.

— Co to, to nie — mówił. Widzi ojciec są takie przestępstwa, których prawo nie może uchwycić. W Berezie siedzą nie tylko posłowie za politykę. Dam ojcu przykład. We Włocławku był pośrednik. Nazywał się Chciuk. Ten Chciuk, "prawnie", zniszczył dziesiątki naiwnych ludzi i dorobił się kolosalnej fortuny. Sąd nic nie mógł mu zrobić. Wysłano go do Berezy.

— Jeśli sąd jest bezradny, — wtrącił Szymek — to dlaczego Sejm nie zmieni kodeksu karnego?

— Pomimo wszystkich błędów kraj się podnosi, — starał się załagodzić dyskusję Zarębski. — Można by zrobić jednak wiele więcej. — Weźmy na przykład nasze rolnictwo. Jestem wrogiem narzucania przez państwo swojej woli obywatelom, ale w tej dziedzinie pewne planowanie jest nieuniknione. Posłuchajcie na przykład historii naszego sąsiada Tadeusza Kropiwnickiego: sprzedał niewielki, doskonały majątek i kupił ogromną płaszczystą wydmy w poznańskim. Prawda, wydma miała wspaniałą pałac i nazywała się "dobrami rycerskimi". Całe te "dobra" nie miały jednej morgi łąki. Poprzedni właściciel Niemiec, siał tam tylko żyto i sadził tak zwane "pyrki". O owsie nie mógł marzyć. Odwiedziłem Kropiwnickiego. Czy wiecie co zrobił? Otóż założył hodowlę rasowych koni.

— Kocham konie... — powiedział.

Ta miłość po trzech latach doprowadziła go do bankructwa. Gdyby sadził "pyry" i tuczył świnię, tak on jak i państwo mieli by korzyść.

— Zgadzam się z ojcem — potakiwał Szymek. — Charakter ziem naszych jest rozmaity. Na przykład w górach powinniśmy propagować i popierać hodowlę owiec, na południu obsiewać jak największe obszary kukurydzą, która się nie udaje na północy, w nizinach, bogatych w łąki, rozwijać hodowlę bydła i tak dalej.

— W tym jednym wypadku nie miałbym nic przeciw ingerencji państwa — kończył wywody Szymka pan Zarębski.

— Skoro mówimy o rolnictwie, to radbym poznać opinię ojca, o reformie rolnej? — pytał Penott. Pan Zarębski uśmiechnął się.

— Cieszę się, żeś poruszył to zagadnienie... — mówił. — Otóż, — jeżeli się nie mylę, — w rękach większej własności znajduje się obecnie około 15 proc. ziemi. Krzyku o tej sprawie jest natomiast na 100 proc. Wraz z rozparcelowaniem ostatniego folwarku, zapadnie cisza: stronnictwa lewicy stracą ostatnie

hasło wyborcze. Coś podobnego dotyczy także prawicy: kiedy ostatni Żyd opuści Polskę nie będą miały o czym mówić Zdziwicie się zapewne, gdy wam powiem że uważam ustawę o reformie rolnej, uchwaloną przez Sejm w 1922 roku, za dobrą. Pozostawia ona właścicielowi do 180 ha ziemi. Intencją jej jest stworzenie w ten sposób gospodarstw wzorowych, które mogły by służyć pomocą miejscowym rolnikom w zaopatrzeniu w szlachetne odmiany zbóż, inwentarz zarodowy, sadzonki drzew itd. Za rozparcelowaną ziemię ustawa przyznaje odszkodowanie. Wydaje mi się, że taki ośrodek, intensywnie gospodarowany, może przynieść o wiele więcej dochodów, niż wielki obszar, z natury izeczy trudniejszy do zagospodarowania. Słabą stroną reformy rolnej jest jej bardzo powolne wykonywanie.

Wspomniałem wam o Kropiwnickim. W jego okolicy, w poznanskim, rozparcelowano już wszystkie majątki państwowe. Obecnie parceluje się własność prywatną. Ta własność — z bardzo małymi wyjątkami — należy do Polaków. Obszarów niemieckich się nie rusza. Na przykład sąsiad Kropiwnickiego, niejaki Ritter von Uhle, posiada wielki majątek, który przed rozbiorami nazywał się Gozzewno. Niemcy przechrzcili go na Ulenhoff. Wiecie kim jest ten Ritter von Uhle? Prezesem partii hitlerowskiej na Polskę. Jeździ swobodnie po całym kraju i organizuje piątą kolumnę. Z reformy rolnej się śmieje. Powiada otwarcie, że Polacy boją się Hitlera i nie odważą mu się rozparcelować jednej morgi.

Na wschodzie propaguje się osadnictwo wojskowe. Gdyby ziemię tamtejsze dano Poleszukowi albo Wołyniakowi bronili by jej tak samo dzielnie jak nasi osadnicy wojskowi. Na zachodzie granica usiana jest Niemcami. Mają oni prawo do korzystania ze stałych przepustek i przekraczają granicę ile razy zechcą. Przemycają broń i amunicję. Otrzymywują instrukcje sabotażowe. To pogranicze to najlepszy teren dla reformy rolnej. — Począwszy od zachodu reforma powinna posuwać się metodycznie ku wschodowi.

— Nigdy się nie spodziewałem że od "obszarnika" usłyszę podobne zdanie... — Penott kręcił głową.

— Nie zapominaj, że ojciec koresponduje z Witosem, — śmiał się Szymek. — Uważaj, żeby ci twojego domku na Zoliborzu tata nie rozparcelował!... Ale teraz może pomówimy o innej dziedzinie, — patrzył na Penotta z pewnym niepokojem. — Najważniejszej w moim przekonaniu: o wojsku.

Penott marszczył brwi i nerwowo zapalał papierosa.

— Kochają konie, tak jak ten znajomy ojca, — ciągnął Szymek. — I ja kocham konie. Z żalem je pożegnałem idąc do lotnictwa. Co się stanie jak co nie daj Boże wybuchnie wojna? Przecież te lance i szable będą zawadzały żołnierzowi w walce z czołgami. Wybacz, Wacku — zwracał się do swagry — ale mówię co myślę. Marnujemy pieniądze na "remonty", owies i siodła. Ileż by czołgów można za to kupić! Inna sprawa, o której być może nie mam dostatecznego pojęcia, to sprawa obrony kraju. Latałem wiele razy na przykład nad Modlinem i Berlinem.

Solidne, potężne betony fortów leżą kawałami na ziemi.

Czy je zniszczono podczas ostatnich wojen? Nie. Sami wysadziliśmy w powietrze. Czy użyto ten materiał na jakie nowe

budowie? Gdzie tam. Leżą te głązy na ziemi — latami. Nikt się o nie nie troszczy. Za ich zasłoną urządzają sobie żołnierze podczas ćwiczeń — latryny. Wacek się uśmiecha. Powie: forty są nic nie warte, to przestarzały zabytek. Wojna ruchoma to nowoczesna strategia. Nie wiem. Wiem to tylko, że jeśli żołnierz, podczas tej wojny ruchomej dotarł by do tych przestarzałych fortów to by znalazł w nich jaką taką ochronę. Komu one przeszkadzały? Przecież Czesi i Francuzi fortyfikują swoje granice. — Jeśli je zechcą uczciwie bronić to na pewno im się te fortyfikacje przydadzą. Jeśli nie nic im nie pomoże. My nie tylko fortyfikacji ale otwartego pola bronić będziemy.

Pan Zarębski widząc, że Penott zżyma się w sobie, przerwał dyskusję.

— No, moi kochani chłopcy, dosyć na dziś, — mówił. — Chodźmy do naszych pań, na pewno się już wynudziły dostatecznie — same.

Penott był wstrzemięźliwy podczas tych rozmów. W duchu przyznawał Szymkowi rację. Gdy kiedyś w Ministerstwie zapytał Szefa Departamentu Kawalerii kiedy zacznie się przezbierać pułki ułanów i zamieniać na pułki kawalerii pancernej szef - pułkownik odpowiedział:

— Tak się panu majorowi spieszy do smrodu benzyny? — Poczekaj pan na te smrody ładnych parę lat. Na — szczęście — dodał, gdy Penott opuszczał jego gabinet.

W Bukach, pracowano cierpliwie i wytrwale.

Szymek, spostrzegłszy szybko, że produkty przemysłowe są nieproporcjonalnie drogie w stosunku do tego co może dać gospodarstwo wiejskie postanowił dążyć do samowystarczalności.

Ku rozczarowaniu Pliszki, kupował mało nawozów sztucznych, zastępując je kompostami i szlaniem ze stawów, pogłębianych każdej zimy. Posypywał szlam tanim wapnem nawozowym i miał doskonały pokarm dla roślin. Narzędzia reperowano w kuźni, ba, wykonywano nowe, używając do tego złom żelaza, który się nagromadził.

— Musimy mieć w Bukach wszystkie działy... — mówił do Stefci. — Gdy nie dopisze zboże będziemy mieć warzywa i konserwy, gdy spadnie cena mleka pomogą nam bekony, a nade wszystko nie wolno zaciągać pożyczek i podpisywać weksli. O dochodach z lasu musimy zapomnieć na wiele lat.

W tym "planie gospodarczym", Stefcia miała niepoślednie miejsce.

Nieczynną, starą, zrujnowaną gorzelnię, przerobiono na fabryczkę — marmłady. Szymek zakontraktował kilkanaście okolicznych sadów, które dostarczały "opadów" jabliczanych. Po każdej burzy czy wichurze, jechały do Buków wozy z jabłkami. Zamiast gnąć na ziemi jabłka wrzucano do płuczki, skąd wędrowały do kotłów. Produkowano tanią marmoladę, tę zaś "Spółdzielnia Rolników" wysyłała, do Sosnowca i Łodzi. Kierował fabryczką młody poznańczyk, Augustyniak, który odbył poprzednio odpowiednią praktykę pod Dreznem.

On także pomagał Stefci przy konserwowaniu ogórków. Panu Pliszce udało się uzyskać zezwolenie na eksport puszek z ogórkami do Stanów Zjednoczonych. Z każdym rokiem dochód z ogórków wzrastał; jeden hektar plantacji podniósł się do dziesięciu hektarów.

Ostatnim działem, który przypadł Stefcii, były — kury.

Z materiału uzyskanego z rozbiórki jednego z tartaków, pobudowano olbrzymi kurnik. Tu było właściwe królestwo Stefcii. Dzięki inkubatorom i wymyślonemu przez Szymka systemowi ogrzewania, "wybiegi" przed kurnikiem zaroiły się wkrótce rasowym drobiem.

Po urodzeniu pierwszej córki, Hanusi, słaba i wymęczona Stefcia zapytała:

— A nie zapomnieliście rozpalic ognia pod "kaloryferami" w kurniku?

Rasowe kury "Plymouth'y" były jej dumą.

Buki weszły okrzepie w okres kryzysu gospodarczego.

Szymek przy pomocy Stefcii starał się delikatnie pomagać staremu panu Zarębskiemu w pokonywaniu trudności.

Dla ojca żony miał synowskie przywiązanie. Wzmogło się ono dzięki... Związkowi Ziemian. Obu poproszono grzecznie, aby z niego wystąpili.

Przyczyną konfliktu organizacji z właścicielem Krężół było otwarte popieranie — przy okazji wyborów sejmowych, kandydatów "Piasta".

Inny charakter miało nieporozumienie z Szymkiem. Wprowadził on w Bukach system "premił" dla robotników. Raz na rok na "Gwiazdkę" wszyscy otrzymywali dodatek do pensji, obliczony procentowo od dochodu działu w którym pracowali. Dodatek ten, wyliczano sprawiedliwie, aby nie było wielkich różnic między grupami robotników.

Skutek tego systemu był taki, że nikt nie potrzebował pilnować robotników i zachęcać do pracy. Pilnowali się sami.

Samowolna zmiana ustawy o zarobkach przez Szymka wywołała burzę w Związku Ziemian. Posypały się na jego głowę epitety ukoronowane wezwaniem do wystąpienia ze Związku.

— Pójdź w moje ramiona wyrzutku społeczeństwa! — śmiał się pan Zarębski obejmując Szymka na powitanie, kiedy przyjechał do Krężół po raz pierwszy po "wyroku".

— Mówiono mi, że wszyscy, którzy byli na waszym ślubie bronili was do upadłego... — pocieszała pani Natalia.

— Zmądrzeją jeszcze, zmądrzeją, — kiwał głową pan Zarębski. — Daj Boże żeby nie za późno...

— Tatusz to zawsze o polityce, — przerwała Stefcia, — a ja mam coś o wiele ważniejszego do zakomunikowania...

— Mów, na miłość Boską! — pani Natalia chwyciła ją za rękę.

— Wyłągi się dzisiaj trzysięczny kurczak! — obwieściła Stefcia. — Gdy podrośnie nałożę mu obrączkę, będzie się nazywał "Lotnik"...

Spokojna była wieś polska.

O północy, obudziło Stefcie pukanie do drzwi sypialni.

Zapaliła świecę.

Szymek, zwrócony twarzą do niej spał spokojnie. Narzuciła szlafrok i uchyliła drzwi

— Policja, — Andrzej podał jej zapieczętowaną kopertę. Podeszła do Szymka i pogładziła go po włosach.
— Stefuś... — szepnął w półśnie.
Rozerwał kopertę. Przynęła do niego świecę. Wyjął pismo i zaczął czytać.
— Stało się... — powiedział zupełnie rozbudzony. — Musisz mi przygotować mundur. O świcie wyjeżdżam do pułku.
Popatrzyła na wiszący obok toalety kalendarz.
— 7 sierpnia — odczytała.
Poszła do sąsiedniego pokoju. Szymek słyszał jak otwiera kufer. Po chwili, poczuł zapach naftaliny. Powiesiła mundur na wieszaku w szafie. Patrzył na nią jak się cicho krzątała po pokoju.
— Weźmiesz swoją starą, wojskową walizkę? — zapytała.
— Tak. Jest najmocniejsza... — zapalił papierosa.
Zaczęła wyjmować z komody bieliznę i uładać na kanapie. Nie spuszczał z niej wzroku.
Mała Hanusia, śpiąca w łóżeczku przy przeciwległej ścianie, wymamrotała coś przez sen. Stefcia podeszła do niej i poprawiła kołderkę.
Poczuli się nagle bardzo zmęczona. Usiadła na łóżku obok Szymka.
— Mamy jeszcze kilka godzin.
Przyciągnął ją do siebie.
— Szymku, Szymku, tak nam było dobrze razem... — wyszeptała.
Nie odpowiedział. Trzymał jej rękę i gładził powoli.
Zdawał sobie sprawę, że każdy ruch, każde wypowiedziane słowo ukaże jaki jest słaby.
Splątane myśli napłynęły mu do głowy.
“Mostek przy olszynach nie wykończony” — myślał. — “Wczoraj była burza, zwozą dużo jabłek”. “Zyto już zebrane, trzeba zacząć siać łubin na poplony”.
Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.
— Pójdę do Marciniaka... — powiedział.
Najboleśniejszą myśl oddalał od siebie. Kiedy powracała, zagryzał wargi.
“Stefcia jest w szóstym miesiącu” — wirowało mu w mózgu, — “doktorzy ostrzegali, że poród może być bardzo ciężki. W takiej chwili muszę ją zostawić...”
Marciniak nie spał. Kilku młodszym fernalom także doręczono “karty powołania”. Stali przed rządówką i wyprężyli się po wojskowemu na widok nadchodzącego Szymka.
— Razem idziemy... — uśmiechnął się.
— Tak jest, panie kapitanie! — odpowiedzieli.
Omawiał z Marciniakiem plan najbliższych robót, aż do chwili kiedy przed dwór zajęchała bryczka.
Śniadanie zjedli w milczeniu. Udawał że nie spostrzega wzroku Stefci i Hanusi, które patrzyły bez przerwy na niego.
— Odprowadzimy cię do krańca lasu, — powiedziała Stefcia.
— A nie zmęczysz się idąc z powrotem? — wziął ją pod rękę i pomógł wsiąść na bryczkę.
— Spacer mi dobrze robi, — odrzekła — to nie jest daleko...
Posadził Hanusię na kolanach. Minęli park i wjechali do lasu.

Było tu cicho. Przez polankę z prawej strony drogi przemknęła sarna. Rosa lśniła na liściach drzew.

Bryczka powoli dotarła do końca lasu.

— Niech Mateusz stanie... — poczuł, że gardło ściska mu niewidzialna ręka.

Przymknął oczy i objął Stefcję.

Mateusz zdjął czapkę i przeżegnał się półgłosem.

Stefcia, trzymając rączynę Hanusi w swojej dłoni, stała na wzgórku, patrząc za oddalającą się bryczką.

Zadudnił most nad strumieniem, bryczka zaczęła się wspinać na przeciwległe wzgórze. W ostatniej chwili, na szczycie, Szymek się odwrócił.

— Niech cię Matka Boska ma w swej opiece... — wyszeptowała.

Za wzgórzem uniósł się tuman kurzu.

* * *

Penottowie mieszkali na Żoliborzu, gdzie przy pomocy pana Zarębskiego kupili mały domek.

Zajechał do nich.

Otworzył mu drzwi Wacek. Był poważny, nigdy go takim nie widział.

Zauważył, że w przedpokoju stoją dwie walizki.

— Wyjeżdżasz? — zapytał.

— Tak. Poprosiłem o przydział do pułku.

W gabinecie Szymek podał mu papierosnicę.

— Cóż taki skwaszony?

Tamten stanął przed nim i nieoczekiwanie wybuchnął:

— Oni ciągle myślą, że nie będzie wojny! Zamiast mobilizować armię, zamiast wezwać całą ludność do kopania okopów, zamiast minować mosty, bawią się w dyplomację. Każdy dzień stracony, to wyrok śmierci na nas.

— Przecież mobilizują, — zaprzeczył zdumiony Szymek, — dlatego tu jestem.

— Kilkaset tysięcy. Milion żołnierza powinno stać pod bronią w miejscach koncentracji.

A mają dosyć karabinów, mundurów, masek gazowych? — Szymek przytomniał po wybuchu Wacka.

— Otóż to!

Wacek wskazał na wiszącą na ścianie szablę i pasek z rewolwerem.

— Tym będziemy bronić kraju. Brakuje tu tylko — kosy.

— Kismet... — Szymek machnął ręką zrezygnowany. — Będziemy się bronić tym, czym mamy.

29 sierpnia, po wyprawieniu Izy i Wacusia do Kręzół, wyszli na spacer do Łazienek.

— Siadźmy tu, — Penott wskazał ławkę nad stawem. — Z tą ławeczka wiążą się moje najpiękniejsze wspomnienia...

Siedzieli patrząc na staw i pływające po nim łabędzie.

Od strony Białan przecięła niebo smuga reflektora.

Wacek powiódł za nią wzrokiem. —

— Wiesz Szymku, — powiedział cicho — tak sobie myślę, że o naszym życiu można by napisać książkę. Dla mnie jej pierwszy rozdział zaczął się właśnie w tym miejscu. Była wtedy ta-

ka sama noc. Ten sam księżyc świecił nad nami, te same łabędzie podplwały do brzegu.

— Kto wie, — odrzekł w zamyśleniu Szymek. Tyłu ludzi nas znało...

* * *

O świcie, obudziły ich syreny alarmowe.

Z głośnika radiowego padło ostrzeżenie:

— "Uwaga! Uwaga! Nadchodzi!!!"

W tym samym czasie, za pługiem leśnym w Bukach, szedł Marciniak. Z wiosną miał sadić w tym miejscu ostatni zagajnik.

E P I L O G

Z myślą o czytelniku przyszłości, autor kreśli ostatnie słowa, zamykające dzieje mieszkańców Buków i ich okolicy.

Są one zaledwie kilkoma kartkami wyrwanymi z księgi kłęski.

Podczas kataklizmu drugiej wojny światowej setki i tysiące Polaków podzieliło los bohaterów tej opowieści.

Niechże ci, którzy przyjdą po nas, pamiętają o nich!

Niechże w rocznicę wrześniową znajdzie się ktoś, kto przechodząc obok cmentarza wiejskiego pod Ciechanowem położy na mogile Wacka Penotta wiązanek kwiatów.

Padł tam ugodzony kulą w czoło, prowadząc szwadron ułanów do ataku.

Sędziwego Jana Zarębskiego, Pliszkę i Krajkowskiego, rozstrzelali Niemcy pod murami gmachu gimnazjum im. Władysława Reymonta w Szczerkowie.

Marciniaka wywieziono do obozu pod Hamburgiem i ślad po nim zaginął.

Iza po powstaniu warszawskim dotarła z rannym Wacusem do Krężoł. Zamieszkała na wsi otoczona serdeczną opieką chłopów.

Przedwczesnych narodzin syna, Stefciaomal nie przypłaciła życiem. Niemowlę zmarło w kilka godzin po narodzeniu.

Dwór w Bukach wraz ze wszystkimi zabudowaniami spłonął w 1945 roku. Stefcia z Hanusłą znalazły schronienie w leśniczówce.

Po przejściu fali wojsk, jednych w odwrocie, drugich w ataku, chłopie miejscowi odnaleźli w piwnicy doszczętnie obrabowanej leśniczówki ciała matki i córki.

Szymek Perkowski, — mimo wieku, — brał udział w walkach powietrznych nad Wielką Brytanią. Później w "Ferry Command", przelatywał kilkakrotnie Atlantyk, dostarczając samoloty armiom walczącym w Afryce.

Po wojnie, wyemigrował za ocean.

Piszący te słowa, spotkał go — w swojej wyobraźni — w głębi brazylijskiej puszczy.

Rozmawiał z nim przez długie godziny nocy, czytał jego zapiski, i patrzył na niego, jak stał wczesnym rankiem, na wyniosłym brzegu spokojnie płynącej rzeki, zwrócony ku wschodowi.

Gdzieś, daleko, poza oślepiającą tarczą słoneczną, były Buki.

Widział je takie same. Dwór bielił się z oddali, topole alei wjazdowej witały go swoim poszumem.

Korowodem, przed oczami, przesuwali się przed nim pan Jan Zarębski, Marciniak, Pliszka, Wacet Penott i Iza z Wacusiem. Widział Stefcie pochyloną nad łóżeckiem Hanusi.

Nikt z nich się nie postarzał.

Zabrał ze sobą za ocean — niezniszczalnie utrwalony — obraz ostatniego sierpniowego dnia.

Wracając do samotnej ranszy, uśmiechnął się.

Tym uśmiechem, osiadłym na wargach, zdawał się szeptać:

— Już niedługo. Już niedługo wszyscy będziemy razem.

Na zawsze.

K O N I E C

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem z zainteresowaniem początek "Buków" i doszedłem do przekonania, że tego utworu nie można czytać. Trzeba go widzieć. Jest to fascynujący, niezmiernie ciekawy scenariusz dla telewizji albo kina. Dopiero kiedy oczami swojej wyobraźni zobaczyłem akcję i jej bohaterów zrozumiałem wartość tego ogromnie oryginalnego utworu.

Zycząc autorowi szybkiego powrotu do zdrowia przesyłam Panu Redaktorowi najlepsze życzenia.

J. Morawski, Nowy Jork, USA.

Do Redakcji kwartalnika "Skarpa".

Przesyłam prenumeratę za siebie i Józefa Zygmunta. Niechże i nasze krucheiry posłużą do podtrzymania wydawnictwa, bo aż wstyd, ażeby kilkuset tysięczna Polonia brazylijska nie mogła utrzymać paru dobrych pism.

Przy okazji parę uwag:

Czy by nie było lepiej zamiast wprowadzać czytelników w świat podłości, intryg, zemilizny moralnej, jak to czyni powieść: "Buki" Przewborowskiego (choć napisana dosyć zajmująco), a którą wypełniście z górą połowę pierwszego numeru "Skarpy", czy by nie lepiej — powtarzam — zamieszczać opowiadania uwadniające charaktery piękne, szlachetne, a dzielne, jak to uczyniono np. w "Lalce", "Znachorze" albo w "Ordynacie Michorowskim"?

Niech by literatura była piękna zamiast rozgrzebywać brudy. Z poważaniem

Józef Grabias

Afonso Pena, Parana

(Dok. na str. 86)

NIEBIESKI MOTYL

Park był nieduży, ale pięknie położony na szczycie wzgórza. Kilka palm i jeden bananowiec nadawały mu wygląd egzotyczny. Kwiaty rosły na klombach i ścieżkach, w pewnym nieładzie. Przez łączkę, nieco podmokłą, toczył swe wody strumień. Tu właśnie na drewnianym mostku lubił przesiadywać mały chłopiec. Miał niecałe siedem lat, był chudy i jedną nóżką powłóczył, pozostałość po paraliżu dziecięcym. Bawił się cicho, nie było go wcale słyhać. Nikt nie przychodził do niego z sąsiedztwa, żadne dziecko. Ale nie doskwierała mu samotność. Całymi godzinami potrafił przypatrywać się ptakom i owadom, obserwować poruszające się na wietrze gałęzie drzew.

Tego dnia wyszedł wcześniej do parku. Dzień się dopiero roziził; na wschodzie różowiły się drobne obłoczki.

Myśląc jak przyjemnie zanurzyć nogi w chłodnej toni strugi, a potem suszyć je w słońcu, zbliżył się do mostku. Miejsce, które zazwyczaj zajmował, było zajęte. Znajdował się tam wielki, jak dłoń, niebieski motyl. Porywał się do lotu, brakło mu jednak sił, aby unieść się w górę.

Na aksamitnym grzbiecie motyla leżała maleńka naga dziewczynka. Tycia jak palec.

Chłopiec nigdy jeszcze nie widział równie cudnej istoty, nawet we śnie. Nagość jej wcale go nie! zawstydziła. Nie był też zdumiony. Świat bajek wydawał mu się równie realny, jak świat rzeczywisty, w którym przebywał.

— Ty jesteś Calóweczka?

Skinęła głową.

— Słyszałeś pewno o mnie z bajki jednego Duńczyka? — powiedziała. — Mogę cię jednak zapewnić, że w tym co napisał nie było nawet połowy prawdy. Ci literaci zawsze coś muszą pokreślić.

— To już było dawno, prawda? A ty wciąż jeszcze wyglądasz młodo.

— Elfy nigdy się nie starzeją — stwierdziła. — Ale teraz jestem bardzo chora i niedługo umrę.

Chłopiec przeraził się ogromnie. Głowa zaczęła mu się trząść na cienkiej szyi.

— Nie chcę, żebyś umarła! — powiedział. — To było by okropne. Musisz wyzdrowieć!

Westchnęła leciutko.

— Nie, nie, mój drogi, ja to czuję. Jeżeli jesteś taki dobry — dodała po chwili — to daj mi się napić. Wiesz jednek chyba, że piję tylko rosę.

Chłopiec nie wiedział o tym, nie przyznał się jednak do swej niewiedzy. Pobiegł do domu. Ze stosu zabawek wydobył różową plastikową łyżeczkę, a z bielizniarki — cieniutką jedwabną chusteczkę matki.

Wszystko to nie trwało dłużej, niż kilka minut. Kiedy wrócił Calóweczka miała oczy zamknięte. Nakrył ją chusteczką, gdyż bał się, aby się nie zaziębiła i podał na łyżce kroplę rosy.

Rosa spłynęła z małych usteczek. Dziewczynka nie żyła. Przyglądał się jej jak skamieniały. Zaciskając pięści hamował w sobie krzyk.

— Mamo, mamo! — zawołał wreszcie.

Pokuśtykał pospiesznie zataczając się i nie przestając krzyczeć.

Znalazł matkę w sypialni. Siedziała przed lustrem i czesała się.

— Co się stało? Dlaczego wrzeszczysz?

— Ach, mamo, tam jedna dziewczynka, umarła!... To Calóweczka. Taka mała jak twój paluszek i zupełnie nagusienka, musiałem ją przykryć chusteczką. Mnie jest tak strasznie żal, mamo...

— Co też ty pleciesz? Prosiłam cię już tyle razy, żebyś nie zmyślał. Jak ci nie wstyd!

— Ale to prawda! — upierał się. — Chodź, to sama zobaczysz.

Podniosła się niechętnie. Kiedy ciągnął ją za rękę popatrzyła z nagłą rozpaczą na jego szczupłą twarz, odstające uszy i chorą nogę.

Nagle zatrzymał się.

— Boże, — zawołał — ptak porwał motyla i Calóweczkę! Syójrz-no, widzisz tego wielkiego ptaka? Mamo, on ich zje! Mamo...

— Nic nie widzę, — odparła. — Zdawało ci się.

I podczas, gdy płakał, tuląc się do jej sukni, dodała:

— Calóweczka żyje tylko w bajce.

Wieczorem stała z mężem przy łóżeczku chłopca. We śnie drgały mu ramiona.

— Trzeba będzie poradzić się lekarza. — Dziwne dziecko — powiedziała, — ma niezwykłą fantazję i jest przedwczesnie rozbudzone erotycznie. Ta historia z nagą Calóweczką...

Seweryn A. Hartman

Vasco José Taborda

POCIESZENIE

Zasłuchany
i sycący się
słowami,
które rodzą się w tobie
uspakajam się
w kryształowym strumieniu,
co płynie ze szmerem
poprzez obszary
niekończących się pól.

SFINKS

Jasność poranna
wzruszająca
twych oczu wilgotnych
czyni, że wdycham głęboko
niewyraźalność śmierci.

ZMARTWYCHWSTANIE

Przeoruje mą duszę
pług miłości.
W niekończących się brzdach
wезде nasienie
wspaniałego kwiatu.

Przełożył: Jan Krawczyk

SPOSOBY TANIEGO PODRÓŻOWANIA

W epoce masowej turystyki czytelników w Ameryce Południowej zainteresują zapewne wrażenia z wielkiej podróży poprzez trzy kontynenty, dokonanej w warunkach, nakazujących możliwie najoszczędniejszy sposób podróżowania.

Istnieją dwie zasady ogólne, które trzeba uwzględnić przy projektowaniu podróży. Jedną z nich jest fakt, że przy obecnym rozwoju lotnictwa podróżowanie samolotami bywa na ogół tańsze, niż statkami, co jeszcze kilka lat temu wydawało się nie do pomyślenia. Druga — jeszcze ważniejsza: przed każdą podróżą nie należy szczenić wysiłków, aby zebrać jak najwięcej informacji. Nie wolno polegać na jednym agencie biura podróży. Z natury rzeczy będzie on podawać plan podróży zapewniający mu największą prowizję. Najlepiej docierać samemu do linii lotniczych, czy okrętowych, a z usług biur podróży korzystać jedynie wówczas, gdy to istotnie warto. Przy planowaniu kosztów podróży dużą rolę odgrywają kwestie walutowe, w których biura podróży orientują się najlepiej. Zdarzają się też wypadki, że agenci, chąc pozyskać klientów, odstępują im w tej, czy w innej postaci część swojej prowizji, bardzo zresztą wysokiej, gdyż dochodzącej do 15 proc. ceny biletu.

Jak tanio podróżować? Relacjonując to na przykładzie mojej ostatniej podróży, muszę zacząć od pierwszego etapu, chociaż jest to szlak mało uczęszczany przez turystów południowo - amerykańskich, mianowicie od skoku przez Atlantyk do Afryki Południowej. Dwa te kontynenty na południowej półkuli dzieli dziś kilka tysięcy kilometrów oceanu i małą pociechę stanowią teorie geologiczne, że w odległych epokach geologicznych Afryka i Ameryka Południowa były jednym kontynentem. Rozerwanie tych dwóch lądów nastąpiło dopiero na początku ery mezozoicznej (200 milionów lat temu), gdy kula ziemską przechodziła wstrząsy, przy których obecne wybuchy wulkanów są dziecinną igraszką. Teoria lądów Gondwana znajduje potwierdzenie w konfiguracji brzegów

zachodniej Afryki i Południowej Ameryki: północno-wschodni cypel Brazylii pasuje jak ulał do zatoki Gwinejskiej. Pewne formacje geologiczne i pokrewne gatunki roślinne i zwierzęce zdają się wskazywać na słuszność tej teorii, ale dla współczesnego podróżnika — poza geologami — nie ma ona znaczenia. Podróżnik ma do pokonania ocean, który choć prawie zawsze spokojny, jak jezioro — w odróżnieniu od Atlantyku Północnego — stanowi jednak dużą przeszkodę dla planów i kieszeni tego podróżnika.

Wobec bowiem małego na razie ruchu podróżniczego pomiędzy wspomnianymi częściami świata nie ma na tym odcinku konkurencji różnych środków podróży i konkurencji pomiędzy poszczególnymi liniami. Istnieje w zasadzie połączenie lotnicze z Brazylii przez Dakar do Johannesburga, ale jeżeli ktoś jedzie na dłużej powstaje kwestia bagażu. W samolocie można zabrać bezpłatnie tylko 20 kg. bagażu w klasie turystycznej i 30 kg. w klasie pierwszej. Wszelkie dopłaty za bagaż extra na dłuższych dystansach są fantastycznie duże. Toteż zagadnienie bagażu może zadecydować o wyborze pomiędzy samolotem, a statkiem. W zasadzie można lecieć, a bagaż wysłać statkiem — frachty okrętowe są niewysokie. Ale tego nie należy nikomu polecać. Wywóz i przewóz bagażu jadącego oddzielnie jest w Brazylii związany z tyłoma przewlekłymi formalnościami, że stanowi istną udrękę. Zdarzają się kradzieże, a ubezpieczenie nie zawsze pomaga, gdyż towarzystwa ubezpieczeniowe stosują formalności w razie kradzieży, którym nie zawsze można zadośćuczynić.

Jeśli zdecydować się na podróż statkiem to nie ma wielkiego wyboru: jest tylko jedna linia okrętowa, holenderska Royal Inter-ocean Lines, która nie mając konkurencji, dyktuje warunki i ceny stosunkowo wygórowane. Statki tej linii robią bardzo długie rejsy — od Buenos Aires do Japonii. Jeden taki rejs trwa tam i z powrotem 6 miesięcy, ale linia posiada liczną flotę i co najmniej dwa statki miesięcznie zawijają do portów brazylijskich. Obecnie bilet z Rio de Janeiro do Cape Town kosztuje około 460 dolarów w pierwszej i 340 dolarów w drugiej klasie. Linia ta jest znana z dobrej kuchni, udanej kombinacji holendersko-malajskiej i podróżowanie pierwszą klasą nie pozostawia nic do życzenia, wyjąwszy chyba tylko zblazowanych milionerów.

Co do klasy drugiej to agenci będą prawdopodobnie odradzać, jak mnie się to zdarzyło, twierdząc, że klasą tą podróżują tylko Japończycy i że kuchnia jest japońska. Wcale tak nie jest.

W jednej ze swoich podróży poznałem się z emerytowanym nauczycielem gimnazjalnym, Holendrem, który długie lata przebywał w Indiach Holenderskich. Lata emerytury spędzał przeważnie w ten sposób, że mieszkał na statkach, jak w pensjonacie, włączając się po całym świecie. Przy takim trybie życia pierwsza klasa prędko by go zrujnowała, więc podróżował drugą i wcale nie narzekał. W drugiej klasie było mało pasażerów i miał na statku Royal Inter-ocean Lines całą kabinę do dyspozycji. Ale trzeba dodać, że to się działo w r. 1961, roku kryzysu w Południowej Afryce, kiedy niewiele osób jechało do tego kraju, a przeważnie stamtąd wy-

jeżdżano. Teraz byłoby inaczej — na kabinę do własnej dyspozycji nie ma co liczyć.

Koszt podróży do Afryki nie wypada taniej jeżeli podróżować statkiem pasażersko-towarowym. Jak wiadomo, statki towarowe nowszego typu mają urządzenia dla pasażerów, przeważnie równie dogodnie jak na statkach pasażerskich. Liczba pasażerów jest ograniczona przepisami morskimi do 12. Gdyby statek miał ich więcej przechodzi do kategorii pasażerskich, ma wyższe opłaty portowe i inne zwiększone koszty. Na takich statkach panuje nastrój zupełnie inny, można powiedzieć bardziej domowy, ale nie należy ich polecać nikomu kto się spieszy. Nie mają one ścisłych dat przyjazdu i odjazdu. W portach brazylijskich, dawniej w Santos, a obecnie w Vitorii, gdzie zachodzą po rudę żelazną, stoją nieraz po kilka dni na redzie i nie na to nie można poradzić. Tego rodzaju statki, kursujące na trasie do Cape Town, należą też do Royal Intercean Lines i koszt biletu nie jest niższy. Istnieje na nich tylko pierwsza klasa.

W końcu r. 1963 i na początku rb. pojawiły się pomiędzy Afryką, a Brazylią, inne statki przywożące wycieczki z Afryki. Mimo, że te statki nie zawsze mają wszystkie miejsca zajęte, nie można z nich korzystać jadąc do Afryki, ponieważ sprzeciwiają się temu najrozsądniejsze przepisy morskie i policyjne.

Te okrężne wycieczki ("cruises") organizowane są przez przedsiębiorstwo Maxa Wulfsohna-Wilsona, o którym warto powiedzieć kilka słów, gdy mowa o tanim podróżowaniu. Był on do r. 1955 właścicielem słabo prosperującej agencji ogłoszeniowej w Johannesburgu. Kierując się jakimś instynktem, który poprzez trafne przewidywanie decyduje o robieniu dużych pieniędzy, ocenił widoki rozwoju taniej turystyki, przemieścił się do Londynu i tam z kapitałem poniżej tysiąca dolarów zabrał się do organizowania niedrogich podróży początkowo na trasie między Anglią, a Afryką Południową. Organizację swą nazwał: "Overseas Visitors' Club" (Klub Zamorskich, Turystów), co nadawało jej charakter jak gdyby niezarobkowy, chociaż od początku była przedsiębiorstwem ściśle handlowym. Dziś Max Wilson jest milionerem i rozszerzył swą działalność tak dalece, że wynajmuje od największych linii brytyjskich duże statki, jak "Empress of Britain" i urządza tanie przejazdy pomiędzy Afryką, a Wielką Brytanią lub wycieczki okrężne, jak wspomniane już do Południowej Ameryki: Cape Town — Buenos Aires — Santos — Rio de Janeiro — Cape Town. Koszt takiej wycieczki wynosi mniej, niż połowę normalnego biletu na tej trasie.

Trzeba też wiedzieć, że w tym wypadku, a zapewne i w innych, organizatorzy stosują trick reklamowy: w pierwszych ogłoszeniach podają ceny jeszcze o 20 proc. niższe. Ale biletów tych sprzedaje się jedynie niewielką ilość i turyści zgłaszający się później są informowani, że tanie bilety zostały już wyprzedane, mogą natomiast nabyć droższe, które nota bene jeszcze się opłacają.

Uczestnicy takich wycieczek w ubiegłym sezonie byli na ogół zadowoleni, chociaż niektóre podróże, kiedy statki były całkowicie zapelnione, dokuczyły uczestnikom z powodu nieu-

niknionego zatłoczenia, konieczności wystawiania w kolejkach i innych niedogodności, mimo iż organizacja robiła wszystko co możliwe, aby pobyt przyjemnić: orkiestr grało tyje, że na upartego można było tańczyć bez przerwy, urządzano gry i zabawy towarzyskie itd.

Jeżeli ktokolwiek zdecyduje się na wyprawę przez Atlantyk do Afryki Południowej przybędzie do kraju zasługującego ze wszech miar na poznanie, pomijając nawet znane na całym świecie atrakcje turystyczne, jak Krueger National Park (Park Narodowy im. Kruegera). Kraj ten ma w tej chwili koniunkturę, jak żaden inny na świecie, koniunkturę, która stwierdza, że określone prawa ekonomiczne są silniejsze, niż idee, choćby najbardziej szlachetne. Afryka Południowa stanowi "twierdzę rasizmu", tak przynajmniej głosi opinia światowa, a mimo to trwa tam obecnie napływ kapitałów zagranicznych i zwiększyła się imigracja, m. in. również z Ameryki Południowej, co z czasem pomnoży kontakty tak samo w dziedzinie komunikacji pomiędzy Afryką, a Ameryką.

Nowy rozdział w dziejach Południowej Afryki rozpoczął się w r. 1948, gdy w wyborach parlamentarnych zwyciężyła partia nacjonalistyczna, złożona z elementu boerskiego, która odsunęła od władzy proangielski rząd marszałka Smuts' a. Nowy rząd zmienił m. im. swą politykę imigracyjną. Marszałek Smuts popierał imigrację. Nowy rząd przez szereg lat wykazywał obojętność, a nawet niechęć do imigracji, chcąc jak gdyby zachować bogactwa kraju i wszelkie wpływy dla Boerów. Ale polityka ta z czasem uległa zmianie. Był to, oczywiście, skutek ogólnych transformacji, które zaszły na kontynencie afrykańskim, poczynając od r. 1956. Dawne kolonie zaczęły jedna za drugą uzyskiwać niepodległość. Murzyni domagali się praw nawet tam, gdzie nie mieli widoków na niepodległość i napięcie rasowe doszło w r. 1960 do punktu wrzenia. Jak zwykle w takich wypadkach kapitał zagraniczny, zawsze płochliwy, zaczął opuszczać kraj, stanęły inwestycje i mimo bogactwa Unii nastąpiło coś w rodzaju kryzysu. Po raz pierwszy liczba białych wyjeżdżających z Południowej Afryki przewyższyła liczbę nowych imigrantów. Podobna sytuacja powtórzyła się w r. 1961, ale już w r. 1962 oznaki kryzysu minęły.

Kiedy po dwóch latach nieobecności, na początku r. 1964, ujrzałem z pokładu statku brzegi Afryki z oddali wydawało się jakby wszystko było takie, jak dawniej. Ale tylko z oddali. Nawet słynna, górująca nad Cape Town Góra Stołowa (Table Mountain) i ciągnące się na południe, aż do Przylądka Dobrej Nadziei, pasmo górskie zmieniły wygląd, gdyż przewiercono przez nie nową drogę samochodową. Nie poznałem też Cape Townu: na wybrzeżu wyrosły nowe, ogromne drapacze chmur. Podobne zmiany, albo nawet większe, można jednak zauważyć także w Brazylii po dwuletniej nieobecności. Bardziej istotne przemiany zaszły w ekonomice Afryki Południowej. Znikły wszelkie ślady kryzysu lat 1960-61. Ochłody też znacznie nacjonalizmy murzyńskie. Nawet tak krótki okres czasu wykazał dobitnie, że racjonalne administrowanie własnym państwem jest znacznie trudniejsze, niż ruch w celu zdobycia niepodległości. Szereg nowych państw murzyńskich znalazł się w trudnościach, jeżeli nie w chaosie, jak Kongo. Z drugiej strony

rząd południowo-afrykański zastosował politykę żelaznej ręki wobec swoich murzyńskich obywateli i tych nielicznych białych liberałów, którzy popierają dążenia Murzynów. Rygorystyczne zarządzenia usunęły możliwość zamieszek rewolucyjnych i położenie gospodarcze nagle się poprawiło. Przez dwa chude lata zapasy surowców i maszyn uległy wyczerpaniu i rozpoczął się okres ekspansji przemysłowej, jakiej do tej pory nie było, mimo iż istniał w Południowej Afryce znaczny przemysł, powstały podobnie jak w Brazylii głównie dzięki wojnom światowym.

Sytuacja gospodarcza wytworzyła nieprawdopodobne zapotrzebowanie na wykwalifikowanych pracowników, zwłaszcza techników i rzemieślników z tego przeważnie powodu, że Murzyni, stanowiący trzy czwarte mieszkańców, mogą być tylko robotnikami niewykwalifikowanymi. Rząd musiał więc zmienić nastawienie do imigracji. Poza koniecznością dostarczenia pracowników do przemysłu i handlu chodzi też o zwiększenie liczby ludności białej jako przeciwwagi szybciej rozmnażającej się ludności murzyńskiej. Obecnie rząd południowo-afrykański pokrywa nawet imigrantom kosztą podróży, udziela zasiłków i każdy kto ma białą skórę jest mile widziany. Ponieważ, jak wspominałem, chodzi wyłącznie o specjalny typ imigrantów, mający zresztą na całym świecie niezłą koniunkturę zarobkową, więc imigracja nie ma i nie może mieć charakteru masowego. W r. 1961 liczby imigrantów i emigrantów równoważyły się i wynosiły ok. 15.000. W r. 1962 liczba imigrantów wzrosła do 20.000, a emigrantów obniżyła się do 10.000. W 1963 liczba imigrantów wyniosła już 35.000, a emigrantów spadła do 8.000. Rok 1964 przyniósł, niewątpliwie, dalsze zwiększenie się liczby imigrantów. Nie można jednak twierdzić, aby ta znaczna nawet stosunkowo liczba imigrantów miała, większe znaczenie jeżeli chodzi o wzmocnienie potencjału rasy białej. Imigranci wciąż jeszcze stanowią mały odsetek w stosunku do trzech milionów białych w Afryce Południowej, popieranie jednak przez rząd białej imigracji stanowi zjawisko bardzo symptomatyczne.

Skład imigrantów jest bardzo różnorodny. Przeważają Anglicy. Mimo wystąpienia Afryki Południowej z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i całkowicie niezależnej polityki tego kraju, angielskie wpływy gospodarcze są tu wciąż jeszcze znaczne i przynyma się oczywisty fakt, że od czasów wojny boerskiej lat 1898-1901 Anglicy byli narodem najbardziej znienawidzonym przez Boerów. Mówi się w Afryce, że dla prawdziwych Boerów ta wojna nigdy się nie skończyła, chociaż od owego czasu wyrosły dwa nowe pokolenia.

Poza Anglikami nie brak imigrantów z krajów socjalistycznych. Są to przeważnie ludzie, którzy "wybrali wolność" i chętnie się ich, oczywiście, tu widzi. Ale zdarzają się i tacy, którzy wyemigrowali legalnie (również z Polski). Mówiono mi, że tysiące Włochów wyjeżdża z Brazylii do Afryki Południowej i nawet niektórzy tamtejsi działacze emigracyjni sugerowali, aby ogłosić wśród Polonii brazylijskiej jakie możliwości wytworzyły się w Afryce Południowej i ewentualnie zachęcać Polaków do naśladowania Włochów.

W czasie mego kilkumiesięcznego pobytu w Johannesburgu musiałem raz odwiedzić oddział miejski, sprawdzający samochody. Oczekując kolejki zauważyłem kręcącego się młodego człowieka, który jak się później okazało był mechanikiem specjalizującym się w doprowadzaniu wozów do stanu umożliwiającego przejście dość ostrego przeglądu. Ów młody człowiek był w zasadzie biały, ale w typie bardzo zbliżony do Hindusa, a pracownicy, którzy mu towarzyszyli, byli niewątpliwie Hindusami. Co mnie uderzyło to jego żywość i sympatyczny stosunek do oczekujących w kolejce delikwentów, zwłaszcza Murzynów z ich starymi, łatanymi, bardzo słabo wyglądającymi wozami (taksówki II klasy, prowadzone przez Murzynów i dla Murzynów) i w pewnej chwili odezwałem się do niego po portugalsku. Mój domysł był trafny. Nie był to jednak Portugalczyk lecz jak najbardziej autentyczny *carioca*, który jako dorastający chłopiec wyemigrował z całą rodziną do Lourenço Marques w kolonii portugalskiej Mozambiku, a stamtąd do Johannesburga. W niedługim czasie stał się właścicielem garażu i warsztatu specjalizującego się w przygotowywaniu samochodów do rejestracji i zatrudniającego ośmiu pracowników. Widać było jak wielki dystans dzieli go od rodzinnej faveli w Rio de Janeiro.

Na ogół rzemieślnicy mają jeszcze lepsze szanse, niż inteligenci, ale i ci nie mogą narzekać. Opowiadał mi pewien architekt, poszukujący bezskutecznie pracowników, że przysłano mu młodego architekta z Europy, który nie umiał ani słowa po angielsku i przebywał w Afryce kilka dni. Taki architekt jest bezwartościowy co najmniej przez sześć miesięcy, dopóki nie pozna przepisów, warunków i języka. Mimo to mój znajomy zaoferował mu równowartość 250 dolarów miesięcznie. Gdy nie zgłosił się do pracy architekt zaczął go szukać tak bardzo potrzebował pracownika. Okazało się, że ów kandydat do pracy nie przyszedł ponieważ otrzymał w innej firmie lepszą posadę z płacą 300 dolarów miesięcznie. Jeżeli uwzględnić, że utrzymanie w bardzo dobrym pensjonacie kosztuje mniej, niż 100 dolarów miesięcznie, zarobki w Afryce Południowej uznać należy za zachęcające.

Inna sprawa czy należałoby zachęcać Polaków zamieszkających w Brazylii, którzy nie są zbyt zadowoleni ze swego losu, aby w ślad za Włochami wyjeżdżali do Afryki. Karierę mogą tam bowiem zrobić tylko ludzie o określonych specjalnościach, a przy tym młodzi. Powinny być przy tym uwzględnione inne aspekty poza pieniędzmi. Przypisywanie t. zw. "sumienia społecznego" szerszym sferom było by absurdalnym idealizowaniem współczesnej ludzkości, ciągle jeszcze jak najbardziej zmaterializowanej. Ale może się zdarzyć, że "sumienie społeczne" jakieś jednostki nie zgadza się na wykorzystanie koniunktury, opartej częściowo na różniczkowaniu rasowym, potępianym zgodnie przez cały świat, poza zainteresowanymi. Poza tym wprawdzie w Afryce Południowej nie ma widocznych konfliktów na tle rasowym, ale niewątpliwie niezbyt daleko powierzchni drzemie napięcie rewolucyjne, choć tak bezwzględnie i skutecznie tłumione. Na razie panuje spokój, kto jednak może zaręczyc co się stanie za 10 lub 15 lat? A to ludzie młodzi muszą brać pod uwagę.

Niepokoje w Afryce Południowej mogą nastąpić tylko przy zmienionej sytuacji międzynarodowej. Ale sytuacji międzynarodowej nie można uważać za ustaloną na stulecia. Nawet ci, którzy o tym marzyli, po upadku Chruszczewa i wybuchu chińskiej bomby atomowej muszą poddać swe rozważania rewizji. Boerzy szykują się i na taką ewentualność. Gdy podziwiałem rozbudowę dróg i arterii przelotowych w Cape Town znajomi mówili ze znaczącymi uśmiechami:

— W razie inwazji... jaka zdolność przelotowa dla czołgów.

Na terenach Afryki Południowej może dojść z czasem do krwawej rozprawy. O tym także każdy ewentualny imigrant powinien wiedzieć.

Gdy po kilku miesiącach pobytu w Afryce nadszedł czas powrotu do Brazylii udałem się ponownie do Royal Inter-ocean Lines. I tu spotkała mnie niespodzianka. Terminy statków pasażerskich były niedogodne, a statkom towarowo-pasażerskim zmieniono trasę, kierując je najpierw do Buenos Aires. Trzeba się było liczyć z dużą dopłatą za zwiększony dystans i czas. Zdecydowałem więc lecieć samolotem linii amerykańskiej kursującym codziennie pomiędzy Johannesburgiem, Dakarem, a Brazylią. Koszt klasą turystyczną wynosił około 450 dolarów, a więc mniej niż pierwszą klasą statkiem.

W biurze Pan American, gdy chciałem nabyć bilet, zapytano jaki mam paszport. To mi się nie podobało. Południowa Afryka nie jest na tyle państwem policyjnym, aby na każdym kroku legitymować się paszportem, tym bardziej w biurze podróży. Ale urzędniczka była nieubłagana i kiedy dowiedziała się, że mam paszport południowo-afrykański oświadczyła krótko i wężłowato, że nie może mi sprzedać biletu. Dlaczego? Dlatego, że w stolicy Senegalu, Dakarze, istnieją ograniczenia dla obywateli południowo-afrykańskich. Nawet nie pytałem jakie. Bywają rozmaite: tak np. w Ghanie obywatel południowo-afrykański musi podpisać deklarację, że potępia politykę rasową Południowej Afryki za co, gdy wróci może spodziewać się paru lat więzienia.

Zapytałem co mam robić?

— Niech pan się zwróci do South African Airways.

South African Airways jest rządową linią południowo-afrykańską, utrzymującą komunikację z Europą. Ponieważ samoloty tej linii nie mają prawa lądować w republikach murzyńskich lecą przez posiadłości portugalskie: Angolę i wyspy Zielonego Przylądka, nakładając ponad 1500 km.

Należy sobie zadać pytanie, czy zarządzenia dyskryminacyjne państw murzyńskich w stosunku do Południowej Afryki mają jakieś znaczenie. Otóż wydaje się, że skupiają się one na krajach stosujących bojkot. Państwa socjalistyczne, murzyńskie i niektóre z "bloku neutralnego" zerwały stosunki dyplomatyczne z Afryką Południową, a nawet wstrzymały handel zagraniczny z tym krajem. W rezultacie jeżeli Afryka Południowa czegoś potrzebuje, nawet z krajów komunistycznych, to zawsze znajdzie usługowych pośredników, którzy dostarczą towary. Pośrednicy nie pracują, oczywiście, za darmo; obciążają kosztami dostawców, gdyż w obecnych warunkach Południowa

Afryką dyktuje ceny i warunki. Jaki więc cel ma bojkot ekonomiczny, który nie może zaszkodzić Południowej Afryce, a przynosi straty państwom bojkotującym? Sprzeciwia się to zdrowemu rozsądkowi, ale w polityce wiele nierozumnych rzeczy robi się dla propagandy.

Wracając do podróży w South African Airways przyjęto mnie uprzejmie i nie widziano żadnych trudności.

— Polecę do Lizbony — powiedziałem, — a stamtąd już łatwo dostanę się do Brazylii. Cena biletu chyba taka sama jak przez Dakar? Nie moja to przecież wina, że Amerykanie nie chcą mnie zabrać.

— A nie, proszę pana, cena normalna. Przeszło sto dolarów więcej.

Wtedy błysnęła mi myśl: "Za te pieniądze, wykorzystując specjalne linie, oblecę pół Europy zanim wrócę do Brazylii". I tak też zrobiłem. Ale to już inna historia.

A. Gawar.

Prosimy naszych Szanownych Czytelników o kierowanie korespondencji i należności za prenumeratę wyłącznie pod następującym adresem: Revista Polonêsa "Skarpa" Caixa Postal, 6335, São Paulo, Brasil. Skrzynka pocztowa 4530 nie należy już do nas.

KSIĄŻKI, KSIĄŻKI...

— WIEŻA BABEL —

Dlaczego "Wieża Babel"? Nie mogę się domyśleć. Faktem jest, że wydane ostatnio dwie książki Sergiusza Piaseckiego, stanowiące części dłuższej całości, ukazały się pod tym właśnie podtytułem.

Trzeciej, i zapewne ostatniej części cyklu, Piasecki nie zdołał już napisać. Być może fragmenty znajdują się w tece pośmiertnej pisarza.

Ta nowa powieść autora "Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" obejmuje czasy wojenne — okres okupacji sowieckiej, litewskiej i niemieckiej w Wilnie. Szczegóły akcji, jak i obserwacje dotyczące obyczajów oraz zdarzeń politycznych, noszą wszelkie cechy autentyzmu. Piasecki wprowadza nas sugestywnie w klimat gorzkich dni, ukazując przede wszystkim świat małych ludzi i ich kłopotów codziennych. Na tym tle rozwija się nieskomplikowana akcja powieści: bohater (pozytywny), były wojskowy, człowiek, o którego przeszłości mało wiemy, wiąże się z jakąś bezimienną organizacją ruchu oporu i na jej zlecenie wykonuje szereg aktów bojowych. Później zostaje przez tę organizację wypożyczony AK. Armia Krajowa przedstawiona jest przez autora nie z najlepszej strony. Jej indolencja, działalność wyłącznie na efekt, kunktatorstwo, uniemożliwiają osiągnięcie spodziewanych wyników. Dopiero ujęcie grupy bojowej w skarby dyscypliny, wprowadzonej przez "wypożyczonego" dowódcę, jego inicjatywa i umiejętności taktyczne, pozwalają na wykonanie zaplanowanego programu. Bohater przekonuje się, że wiele akcji, nakazanych z góry, nie ma podstaw. Chodzi po prostu o to, aby się wykazać czynami wobec zwierzchności, on i jego ludzie pracują dla honoru organizacji. Szczególnie ostrej krytyce poddaje autor sądy kapturowe, które skazują częstokroć na śmierć niewinnych ludzi.

Nie wydaje mi się, aby tego rodzaju stanowisko było słuszne. Jak w każdej pracy tak i w pracy AK zdarzały się omyłki; jest to rzecz ludzka. Piasecki wyolbrzymił te omyłki, mało tego odebrał wszelki sens poczynaniom organizacji, tak zasłużonej w walce z okupantem, przez co wyrządził jej wielką i niezasłużoną krzywdę.

Jak zwykle u Piaseckiego w galerii typów najlepiej wyszły typy ujemne. Plastyczna jest kochanka głównego bohatera, Luba, samiczka, umiejąca dbać o swoje interesy erotyczne i handlowe. Wizerunek handlowca i hochsztaplera, Henryka, — handlarki Buby, złodzieja Wińcuka to swego rodzaju majstersztyk. Pozytywni bohaterowie mniej się udali. W żyłach ich zamiast krwi płynie atrament.

Siła witalna głównego bohatera, Józefa, jego powodzenie u kobiet, są bez precedensu. Nie ma niewiasty, która by mu się zdołała oprzeć, chyba że jest stara i nie warta grzechu. Pod tym względem ów Józef (nie cnotliwy) przypomina bohaterów opowiadań innego beniaminka czarnej literatury, Hłaski.

Pewne motywy ostatniej powieści Piaseckiego stanowią powielenie motywów jego poprzednich powieści. Tak np. pozowanie Józefa do aktów w Akademii Sztuk Pięknych przypomina pozowanie do zdjęć pornograficznych bohatera "Żywota człowieka rozbrojonego". Jest także Józef (rzecz powszednia u Piaseckiego) rodzajem szlachetnego zbrojcy Rinaldo Rinaldiniego albo Janosika, ucieleśnieniem dobroczyńcy biedaków kosztem bogaczy.

Do ujemnych stron powieści należy ten sam co w innych utworach Piaseckiego nierówny, miejscami nieporadny styl.

W arsenale językowym pisarza, którego słownictwo jest niezmiernie ubogie, czasowniki posłkowe: "być" i "mieć" są delikatnie mówiąc nadużywane.

"Ma głowę greckiego mędrca", — pomyślał Józef, słuchając Tomasza.

— Nie mam ambicji wodzowskich. Nie interesują mnie przygody, ani awantury, — mówił Tomasz. — Mam rodzinę...

Powiada się: "jak rodzynki w cieście". Otóż u Piaseckiego spotyka się tyle błędów, że owo przysłowiowe ciasto musiało by być aż granatowe od rodzynek.

Przykład pierwszy z brzoza:

"Dopiero w połowie pierwszej godziny do suteryny zbiegli dwie studentki i jeden student".

Albo:

"Podjął karabin i sumkę".

Owa "sumka", obrzydliwy rusycyzm, płacze się wiele razy na początkowych stronicach powieści.

Dużą winę za ten stan rzeczy ponosi wydawca. Wydaje się, że rękopis nie został skorygowany przed wydrukowaniem i nie zostały usunięte najbardziej rażące błędy.

Sergiusz Piasecki. Człowiek przemieniony w wilka. Polska Fundacja Kulturalna. Londyn, 1964, str. 319.

Sergiusz Piasecki. Dla honoru organizacji. Polska Fundacja Kulturalna. Londyn, 1964, str. 316.

Zbigniew Stachowiak

POD KAŻDYM NIEBEM

Siedem opowiadań, zamieszczonych w zbiorze Józefa Mackiewicza, 1) każde na swój sposób ciekawe, odsłaniają różne światy poczynając od zabitego deskami Polesia, a kończąc na "pewnym kraju Europy Zachodniej, którego nie podobna zaliczyć do krajów ciepłych, ale też w żadnym przypadku nie można nazwać krajem zimnym". I tak samo jak różne są pod względem geograficznym, pod względem miejsca akcji, tak samo te opowiadania różnie są tematycznie. Dwa z nich mają charakter filozoficzny ("Fotograf" i "Przygoda małego diabełka"), cztery — te z Polesia — zrodziły się zapewne z nostalgii po "małych, w błocie tającego śniegu tonących miasteczkach", rzekach "o szeroko rozrzuconych, podmokłych torfowiskach nadbrzeżnych", drogach polnych, zarosłych trawą, w których, gdy "w jednej dziurze stała woda, w drugiej leżał kamień, a w trzeciej grzązkość lub pozostałość korzenia" i po ludziach — tych rozmaitych Swatach, Pietrukach, Bołtuszkach, Akwilinach o uwydatnionych kościach policzkowych i lekko skośnych oczach, Monikach o rzęsach niby łapki jodłowe i Żydóweczkach Rajach. Ludzie to wyrwani wprost z życia. Konflikty ich, które wydają się nam dziś egzotyczne, też wyrosły z życia. Mackiewicz skreślił ich portrety kilkoma kreskami, a mimo to są jak żywi. Autentyzm ten staje się chwilami tak nieomal dotykający, że czytając wtapiamy się w klimat opowiadań, jak byśmy byli naoczni obserwatorami dramatu. Jest to chyba najwyższa pochwała jaką można oddać jakiemukolwiek pisarzowi.

Z opowiadań poleskich jedno uważam za najcenniejsze: "Balladę o nowym sterniku". Ma ono w sobie epickość i ów szeroki oddech, który emanuje z obrazu świetnego malarza, gdzie zarówno tło, jak i pierwszy plan wykonane zostały z równą starannością i wypukłością szczegółów. Główny bohater, Pietruk, ów "nowy sternik" na zbutwiałym od starości żydowskim parowcu na Prypeci, u którego to Pietruka zwykła chłopska świtka leżała na ramionach z taką fantazją, jak dolman, czy jego ukochana Raja, dziewczyna o oczach koloru słodowego piwa, ich miłość zwyczajna, a mimo to niezwykła, właściciel parowca, Chaim, jego żona, Hana, która człapiąc po pokładzie "popychała przed sobą ogromny, osiadły na krótkich nogach, brzuch" wszystko to ma w sobie głębię i prawdziwość autentycznego, a przy tym wiele nieklamanej poezji.

Jeżeli by mnie jednak zapytać, które z opowiadań, zawartych w tomie, jest najlepsze — odpowiedziałbym bez wahania, że ostatnie — "Kamienica nad morzem". Mało mamy w literaturze światowej tak wspaniałych studiów morza i tęsknoty ludzkiej jak ta historia przybłądy osiadłego na krótko w miasteczku portowym i sklepiczarki Magdaleny. Nie wiem gdzie należy szukać analogii z twórczością innych pisarzy — tego rodzaju porównania są zawsze zawodne — ale wiele w tej noweli przypomina Arcybaszewa lub Kuprina, a może trochę Conrada. To oczywiście tylko klimat, gdyż sama nowela jest jak najbardziej oryginalna i świeża, to tylko klimat literatury wielkiej i jak najbardziej słowiańskiej.

Seweryn A. Hartman

1) Józef Mackiewicz. Pod każdym niebem. Polska Fundacja Kulturalna. Londyn, 1964, str. 160.

MIŁOŚĆ I HAZARD

Bardzo miłą książeczkę Janusza Kowalewskiego 1) przeczytałem z dużym zadowoleniem. Jest to zbiór humoresek, przeważnie z okresu wojennego, napisanych piórem lekkim, zabawnych, a jednocześnie implikujących spojrzenie spod przymrużonych oczu na sprawy tego świata. Dowcip w nich celny, a język nieskazitelny — rzecz rzadka w obecnych czasach, kiedy pisarze traktują polszczyznę jak ubogiego krewnego. Postacie humoresek nie są potraktowane karykaturalnie. Pod zwiewnym nalotem kpiny spostrzeżeni są ludzie żywych, opisanych z sympatią i dużą dozą pobłażliwości dla ich grzeszków i słabostek.

W sumie książka napisana z niezwykłą kulturą, od czego ostatnio odwykliśmy, pozostawiająca, po przeczytaniu przyjemny rausz jak po wypiciu szklanki dobrego wina.

Zbigniew Stachowiak

1). Janusz Kowalewski. Miłość i hazard. Polska Fundacja Kulturalna. Londyn, 1964, str. 159.

BYŁEM AGENTEM STALINA

Nie łatwo jest pisać recenzję tej pasjonującej książki jeśli przedmowę do niej napisał taki znawca Sowieców, jakim jest Jan Kowalewski. Pułkownik dyplomowany, fenomen w rozszyfrowaniu najbardziej skomplikowanych szyfrów, czym przyczynił się znacznie do naszego zwycięstwa w kampanii 1920 r., co spowodowało zaproszenie go na wykładowcę tego działu w japońskiej akademii wojskowej — ten wybitny żołnierz był naszym attaché wojskowym w Moskwie, skąd, jak pisze, był “wyproszony” jako osoba “non grata” w 1933 r. Będąc na tym stanowisku spotykał się z wybitnymi komunistami, zwłaszcza polskimi, jak: Radek, Wandurski, Neuman - Rajewski, bracia Kowalscy itd., jak też z dalekim poprzednikiem Adzubeja, naczelnym redaktorem “Izwestij”, kubańskim kozakiem Grońskim. Nie możemy mieć chyba żadnych wątpliwości, że działło się to nie tylko z wiedzą ale i na rozkaz Stalina. Przedmowa więc płk. Kowalewskiego jest właściwie recenzją Waltera Krywickiego.

Jeśli mimo to odważam się napisać o niej tych słów parę, to tylko dlatego, że poznałem Sowiety zarówno w latach ich początku, 1917-19, jak i w kilkadziesiąt lat potem, w r. 1940-42. I gdy płk. Kowalewski oglądał je od zewnątrz, ja, niestety musiałem zrobić to samo, że się tak wyrażę, “od wewnątrz”, tj. w najbardziej charakterystycznych dla jej ustroju instytucjach, więzieniach, a wśród nich w słynnej “Łubiance”, którą, mój sędzia śledczy, nazywał... kurortem. Była to dla mnie szkoła, ba, nawet uniwersytet “sowieologii”, gdyż towarzyskami moimi w celach byli najwybitniejsi komunistyczni dygnitarze i wojskowi jak np. gen. Jan Poruk, zastępca d-cy dalekowschodniej armii marsz. Bluechera.

"Generał Walter Krywicki — pisze Artur Koestler, b. komunista i później autor wielu doskonałych antykomunistycznych książek — był szefem wojskowego wywiadu (4-ty Oddział Czerwonej Armii) na Zachodnią Europę do chwili kiedy zerwał z reżymem w r. 1937. Był to pierwszy wypadek dezercji wyższego oficera w sieci sowieckiego szpiegostwa za granicą. Dwa razy GPU usiłowała zabić go we Francji; trzeci raz udało to się jej w Stanach Zjednoczonych. Śmierć jego była upozorowana samobójstwem. Generała Krywickiego znaleziono z kulą w głowie, pozornie wystrzeloną przez niego samego w pokoju małego hotelu w Waszyngtonie gdzie poprzednio nigdy się nie zatrzymywał. Uprzedzał on kilkakrotnie rodzinę i przyjaciół aby nigdy nie wierzyli w jego samobójstwo, jeśli go znajdują martwego. Istnieje stare powiedzenie GPU: "Byle idiota może popełnić morderstwo ale trzeba być artystą aby popełnić śmierć naturalną".

Wobec książki Krywickiego, opisującej sucho i bez literackich upiększeń fakty z jego szpiegowskiej działalności błędną policyjne i szpiegowskie romanse Conan Doyle'a, Agaty Christie, Simenona czy innych autorów sensacyjnych powieści. Chociaż wszystkie fakty, o których pisze Krywicki w swej książce "Byłem agentem Stalina" znane nam są z literatury i prasy, rewelacje autora są zaskakujące. Po raz pierwszy bowiem w historii ZSSR człowiek tego kalibru, biorący udział we wszystkich morderstwach masowych, procesach pokazowych, prowokacjach na skalę międzynarodową, kajaniach się starej leninowskiej gwardii itp. wybiera wolność i odkrywa karty, którymi Stalin swoją szulerską grą ogrywał kolejno wszystkich europejskich czy amerykańskich partnerów, uważanych za mistrzów dyplomacji. W wielu wypadkach Krywicki był jedynym żyjącym świadkiem tych zbrodni. I dziwić się tylko wypada, że amerykańska policja nie zdołała zapobiec temu morderstwu.

Pisze więc Krywicki że Komintern, który spędzał sen z oczu całego świata, sowieckie wierchuszki, nie wyłączając samego Stalina, nazywały... "ławoczką" i "szwindlem"! Takim samym szwindlem był udział sowiecki w hiszpańskiej wojnie domowej. Hasłem - rozkazem Stalina do jego ludzi w Hiszpanii było "Trzymaj się z daleka od armat"! Bał się on panicznie wplątania Rosji w wojnę z Niemcami. Skomunizowanie Hiszpanii, pisze autor, było potrzebne Stalinowi jedynie do szantażowania nią, z jednej strony Francji i Anglii a z drugiej — Niemiec hitlerowskich. Gdy wygrana Franco była już widoczna, Stalin po prostu porzucił walczących ostatkiem sił republikanów, posławszy tam dobrze zorganizowaną "filie" GPU, która wymordowała bez sądu wszystkich niemal wyższych dowódców i komisarzy, niezależnie od ich narodowości. Ci co przypadkiem ocalili jak stary towarzysz Lenina i bohater wojny domowej, b. poseł sowiecki w Warszawie Antonow-Owsejenko, zginęli później w kolejnej czystce w podziemiach Łubianki.

Resztki Hiszpanów z republikańskiej armii, dzielnie stawiającej czoło frankistom, którym udało się schronić do Rosji, wymarli w łagrach i więzieniach. Spotykałem te strzępy ludzkie w moich celach więziennych, chorych na gruźlicę i szkorbut, cierpiących w tym wrogim dla nich klimacie, nie mogących się porozumieć po rosyjsku...

Ta mizerna i wątpliwa pomoc hiszpańskim republikanom po lichwarsku opłaciła się Stalinowi: nie tylko pozbył się tysięcy potencjalnych przeciwników, ale ukradł całe hiszpańskie złoto państwowe! A było tego nie mało, bo przeszło 140 milionów funtów! "Ilość tego złota — pisze Krywickij — które wyładowano w Odessie, mój podwładny określił w oryginalny sposób. Przechodziliśmy właśnie przez Czerwony Plac. Wskazał na kilka akrow placu przed nami i powiedział: "Gdyby wszystkie skrzynie ze złotem były ułożone jedna obok drugiej na Czerwonym Placu, pokryły by go od końca do końca".

Krywickij opisuje szczegółowo jak Stalin likwidował kolejno wszystkich przedstawicieli Kominternu, przybyłych do sowieckiego "raju" z całego świata. Miałem za towarzysza celę jednego takiego wielkiego o małym wyglądzie Niemca. Przeszedł jako komunista wszystkie więzienia w Europie, opisywał mi ich zalety i wady. W jednym z nich, zdaje się w Niemczech, rozbito mu głowę kolbą. W Rosji został aresztowany za krytykę władz, bo nie zajęły się przybyłymi z Niemiec jego rodakami, którzy z kobietami i dziećmi musieli w zimie obozować pod gołym niebem tygodniami. Przy mnie zabrano go na rozprawę sądową. Wrócił wściekły, dostawszy 10 lat łagrów. Koledzy w celi, starzy łaźniarnicy, twierdzili, że wykreślił się sianem. Potem w nocy szeptał mi na ucho z zachwytem, że Hitler daje w skórę bolszewikom!

Z niemieckich członków Kominternu ocaleli tylko ci którzy Stalin wydał Hitlerowi. Ocaleli w... kacetach! A z polskich, wybitych co do jednego uratował się jedynie Gomułka, bo dziwna ironia losu, w czasie czystek stalinowskich siedział w więzieniu "faszystowskiej" Polski. A kiedy po śmierci Stalina Chruszczow potępił kult jednostki i wypominając wszystkie jego zbrodnie rehabilitował uroczyscie straconych przez niego towarzyszy starej gwardii Lenina, dotychczas nikt ze zgładzonych polskich komunistów nie dostał tego zaszczytu. Tak samo nie wpisano do rejestru zbrodni Stalina masowego mordu w Katyniu. Mimo głoszonych stale przez Warszawę zachwyty nad "bratnim radzieckim narodem". Pewnie aby nie rozpłaszczać zanadto "bratni naród - Polacziszek". Jedyny Bruno Jasiński, z którym wypilem niejeden kieliszek wódki w Artystycznym Klubie w Warszawie (miał zresztą słabą głowę) doczekał się wydania w Kraju tomiką swych uroczych wierszy. A przeciw dla Sowietów... "palił Paryż".

Autor opisuje szczegółowo montowanie przez Stalina sprawy przeciwko Tuchaczewskiemu. Nie zapomniał mu nigdy krytyki niepotrzebnego marszu z Budionnym na Lwów zamiast przyjąć mu z pomocą pod Warszawą w r. 1920. Był on dla Stalina dzięki swej popularności w wojsku groźnym rywalem. Drugi zdolny i popularny generał, Gamarnik, został stracony za to, że odmówił świadczenia przeciw swemu koledze, Tuchaczewskiemu. Korzystając z tego Stalin "wykrył" spisek oficerów Czerwonej Armii, mordując 80 wyższych wojskowych, członków Wyższej Rady Wojennej i 35 tysięcy niższych oficerów! Cóż wobec tego znaczy 15 tysięcy ofiar Katynia? Dzięki temu w 4 lata później Czerwona Armia była bezradna wobec potężnej armii Hitlera.

Krywickij podaje szczegóły porwania białych generałów w Paryżu, Kutjepowa i Millera. Miał on tam swego szpiega w oso-

bie gen. Skoblina, męża popularnej śpiewaczki carskich czasów, Plewickiej, która dostała wyrok długoletniego więzienia w sądzie francuskim. Wstrząsające wrażenie robią opisy metod badania więźniów przez GPU i sposobów jakich używano dla wymuszenia przyznania się do nie popełnionych zbrodni. Zazwyczaj były to obietnice zwolnienia w zamian za przyznanie się do tego czego się nie popełniło. Było to równoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Ci, którzy mieli odwagę nie pójść na ten lep, jak np. Radek uratowali życie. Dużą sensacją są rewelacje Krywickiego o masowym fałszowaniu przez Stalina dolarów. Pod tym względem dwaj międzynarodowi fałszerze mogli raz jeszcze podać sobie ręce: Hitler funty, Stalin dolary.

Ale największą sensacją w tej książce jest udokumentowana faktami rewelacja, iż Stalin od chwili dojścia do władzy Hitlera wszystkimi możliwymi środkami dążył do porozumienia i nawet sojuszu ze swym niemieckim odpowiednikiem. "Igrok igroka widit izdaleka" — gracz gracza widzi z daleka — mówi stare rosyjskie przysłowie. Wszystkie jego posunięcia, czy to w samej Rosji czy na terenie międzynarodowym miały na celu przypodobanie się Fuehrerowi albo szantażowanie go. I chyba najszczęśliwszym momentem jego życia było podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow. Wykonywał potem skrupulatnie, służalczo, wszystkie przewidziane traktatem dostawy dla Niemiec, ogoławając jeszcze bardziej swych obywateli aby tylko przypodobać się Hitlerowi. Musiał być zdumiony i zaskoczony niewdzięcznością "przyjaciela" kiedy ten potężną armią uderzył na Sowiety. Tą bezwzględną wiarą w przyjaźń Hitlera tłumaczy się nieprzygotowanie wyniszczonej ostatnią czystką Czerwonej Armii i miliony jeńców w pierwszym okresie wojny. A późniejsze tłumaczenie Stalina, że pakt był konieczny, żeby mieć czas na wojenne przygotowania, to jeszcze jeden szwindel. Takim samym szwindlem było oświadczenie Stalina, że zawarł umowę z Hitlerem, bo Polska nie zgodziła się na przemarsz armii sowieckiej przez swoje terytorium.

W tym wszystkim jedno nas zdumiewa: książka Krywickiego wyszła po angielsku w Anglii w r. 1939 i wzbudziła sensację. Trudno przypuścić, żeby nie czytał jej Roosevelt. I jak po tym wszystkim mógł on ślepo wierzyć wszystkiemu co mu obiecywał Stalin?

Książka Krywickiego musi być obowiązkową lekturą wywiadów całego zachodniego świata. Powinni przeczytać ją także ci **traveler fellow**, co siedząc w "kapitalistycznym" kraju w miękkim fotelu ze szklanką oryginalnego "scotch'a w ręce, zachłystują się, opowiadając cuda o rajach sowieckim!

J.P.P.

Walter G. Krywicki. Byłem agentem Stalina. Instytut Literacki. Paryż, 1964, str. 217.

Ś.p. Prof. Stanisław Kolbuszewski

Piszząc list ze świątecznymi życzeniami w końcu ub. r. do prof. Stanisława Kolbuszewskiego przez myśl mi nie mogło przejść, że nie zastanie Go już przy życiu i kiedy w połowie stycznia przyszedł list z Wrocławia, będąc pewnym, iż jest to odpowiedź Jego, nie spojrzałem na nazwisko nadawcy i ciesząc się, że znów będę czytał te miłe, tak zawsze z niecierpliwością oczekiwane słowa, rozerwałem niecierpliwie kopertę. Wypadła z niej klepsydra, zawiadamiająca o Jego śmierci dnia 7 stycznia i o pogrzebie w parę dni potem. Dostałem jakiegoś szoku, który nie pozwolił mi długo wypowiedzieć słowa i zawiadomić o tej katastrofie znajdującą się w innym pokoju żonę. Nie mogłem wprost uwierzyć, iż nie ma już na świecie tego człowieka o jakimś swoistym uroku, młodego jeszcze, energicznego i aktywnego. I zdrowego bo takim go zostawiłem w Rydze w marcu 1940 r. kiedy aresztowano mnie i wywieziono do Moskwy. A w swych listach nigdy nie skarżył się na zdrowie. Przeciwnie, listy te były pełne projektów na przyszłość.

Prof. S. Kolbuszewski urodził się 22 czerwca 1901 r. w Przemyślu, złożył egzamin dojrzałości w r. 1919 w VII gimnazjum we Lwowie. Studiował na wydziałach filozoficznych uniwersytetów Warszawskiego i Poznańskiego, gdzie w r. 1925 otrzymał stopień doktora filozofii "Summa com laude". W latach 1925-26 i 1928-30 przebywał na studiach w Paryżu, po czym w grudniu 1930 habilitował się z historii literatury polskiej na Uniwersytecie Poznańskim. W r. 1932 został wybrany członkiem Komisji Historii Literatury Polskiej, Polskiej Akademii Umiejętności, a w r. 1934 objął katedrę literatur słowiańskich na Uniwersytecie Łódzkim w Rydze. Stanowisko to piastował do r. 1944, będąc jednocześnie od r. 1938 profesorem literatury powszechnej. W r. 1938 otrzymał Złoty Wawrzyn Akademicki Polskiej Akademii Literatury za szerzenie za granicą zamiłowania do literatury polskiej. W r. 1939 odznaczono go komandorią łódzkiego orderu "Triju Zwiąźnu".

Aresztowany w czasie okupacji niemieckiej prawie rok przebywał w centralnym więzieniu w Rydze. W r. 1944 mianowany przez Komisariat Oświaty w Moskwie profesorem literatury francuskiej w Rydze zajmował to stanowisko do czasu powrotu do Polski, będąc zarazem profesorem Instytutu Języków i Literatur w Rydze.

Po powrocie do Polski objął w dn. 1 grudnia 1945 r. katedrę historii literatury polskiej w Uniwersytecie Wrocławskim,

wiążąc się w ten sposób z uniwersytetem i stolicą Dolnego Śląska do końca swego życia. W latach 1945-49 kierował Instytutem Historii Literatury Polskiej XIX w. Był członkiem zwyczajnym Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego i przewodniczącym Wydziału I tego Towarzystwa, członkiem Komisji Literackiej i Komisji Słowianoznawczej Polskiej Akademii Naukowej, a w latach 1945-49 przewodniczącym Wydziału Wrocławskiego Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Od lat pięćdziesiątych ofiarną pracą w środowisku wrocławskim łączył z ożywioną działalnością naukową na Opolu, będąc dziekanem, rektorem i profesorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, założycielem Opolskiego Towarzystwa Naukowego i Instytutu Śląskiego, założycielem i redaktorem naczelnym "Kwartalnika Opolskiego". W latach 1960-61 na zaproszenie rektora francuskiego uniwersytetu w Montrealu, przebywał w Kanadzie jako wykładowca literatury polskiej i rosyjskiej.

Był świetnym wykładowcą i niestrudżonym prelegentem. Odznaczony był m. in. Krzyżem Komandorskim Orderu Polski Odrodzonej. Zmarł w pełni sił twórczych, a pogrzeb jego był wielką manifestacją świata naukowego i młodzieży akademickiej, którzy w liczbie przeszło 500 osób przyszli złożyć ostatni hołd swemu ukochanemu koledze i profesorowi.

Ś. p. prof. S. Kolbuszewski zostawił żonę, też naukowca i sześcioro dzieci, z których dwoje jeszcze w wieku szkolnym i troje wnucząt. Najstarsza córka poszła za przykładem ojca i jako magister pracuje w bibliotece uniwersyteckiej.

Państwa Kolbuszewskich poznałem w r. 1938 w Rydze, dokąd przeniesiono mnie z Aten, lecz widywaliśmy się z nimi raczej rzadko z powodu moich częstych i dłuższych wyjazdów do innych państw bałtyckich, lub do Warszawy. Zbliżyła nas dopiero bardzo kłeska wrześnieiowa i fale uchodźców wojskowych i cywilnych, które przed wojskami sowieckimi i niemieckimi ukryły się na Łotwie. Dało mi to możliwość odkrycia jeszcze jednej cechy prof. Kolbuszewskiego, prócz wysokiej inteligencji, głębokiej wiedzy i kultury i czaru osobistego — mianowicie serca i wielkiej ofiarności. Pp. Kolbuszewscy rozdali niemal całą swoją bieliznę osobistą i pościelową i wiele swych ubrań setkom uchodźców z Polski!

W ciepłej rodzinnej atmosferze domu pp. Kolbuszewskich, w długich rozmowach zapominaliśmy przez chwilę o katastrofie, która zwała się na nasz Kraj i naród. Dwoje małych jeszcze, przemilych dzieci, Staś i Aniela, z którymi bawiłem się godzinami, dawały złudzenie, że to wszystko co się stało, to był tylko jakiś koszmarny sen. Nie przeczuwaliśmy wtedy, że najgorsze dla nas osobiście ma dopiero nadejść. I nadeszło: pewnej nocy przyszli po nas. Czytałem właśnie jakąś francuską książkę prof. Kolbuszewskiego, zdaje się sztuki Romain Rolland'a, a wywieziono nas do Moskwy.

Po wojnie, już tu w Brazylii, w jakimś piśmie krajowym przeczytałem, że S. Kolbuszewski jest profesorem Uniwersytetu we Wrocławiu. Nawiazaliśmy od tego czasu korespondencję. Dostałem od niego moc zdjęć całej, licznej już wtedy jego dziatwy. Kiedy Profesor bawił w Montrealu, napisał, że korzystając z wyjazdu chętnie by przyjechał do Brazylii na cykl wykładów. Zaczęłam robić starania o zaproszenie go na wykłady o literaturze

polskiej czy ogólnosłowiańskiej. Nie udało mi się, niestety. Czy dlatego, że jestem tu *quantité négligeable*, czy też że był to... tylko profesor literatury, a nie gracz piłki nożnej?

Kiedy w ub. r. przyjaciółka nasza wyjeżdżała z São Paulo do Polski, gdzie we Wrocławiu ma rodzinę, prosiłm ją by odwiedziła prof. Kolbuszewskiego. Przywiozła mi od niego książkę "Śląskie impresje Stanisława Wyspiańskiego" z serdeczną dedykacją. Była pod jego urokiem i mówiła, że doskonale i zdrowo wygląda. Gdy się zastanowić dobrze nad tytaniczną pracą prof. Kolbuszewskiego, o której napisałem wyżej, o tych wszystkich jego funkcjach i stanowiskach, które wykonywał jednocześnie w swej naukowej pracy nie szczędząc sił i zdrowia, mieszcząc to wszystko w tak krótkim okresie 24 godzin, nie można się dziwić że ten motor ludzki, serce, nie wytrzymało i musiało stanąć.

Nie tylko nauka polska poniosła niepowetowaną stratę, ale całe nasze społeczeństwo, bo zabrakło kogoś kto miał rzadkie dziś prawo nazywać się człowiekiem.

J. P. P.

LISTY DO REDAKCJI

(Dok. ze str. 65)

Do wydawnictwa "Skarpy".

Mam kilka uwag, którymi chciałem się z Wami podzielić. Wydaje mi się, że dajecie za gruby papier co podraża znacznie opłaty pocztowe.

W pierwszym numerze trzeba było zamieścić więcej artykułów naukowych. Za dużo podaliście powieści "Buki". Dobrze by też było drukować wiadomości z kraju. Interesowało by to czytelników, a przecież chcąc utrzymać pismo musicie przede wszystkim zadowolić czytelników.

Przesyłam wydawnictwu serdeczne życzenia dobrego powodzenia, a choremu p. H. Przyborowskiemu życzę rychłego powrotu do zdrowia.

Józef Zawierucha
Toledo, Ohio, USA

MURZYN

1

Do zarządcy pilnującego budowę drogi z Comandã do Cerro Largo zgłosił się młody człowiek z prośbą i przyjęcie do pracy. Akurat potrzebowano ludzi. Zarządca, Niemiec, Hugo Werner, starszy i dobronudzny gość, przychylny każdemu białemu człowiekowi, kazał wejść przybyszowi do szałas, który służył mu za mieszkanie i biuro jednocześnie. Zmierzywszy obcego badawczym spojrzeniem i osądziwszy przychylnie jego przydatność fizyczną wyciągnął zza pazuchy zmietoszony notes.

— Nazwisko?

— Antonio Wąs.

— Wonsch?

— Nie wąż, ani jaszczurka, tylko Wąs.

— Nie lubię żartów, gdy mówię poważnie. Dla mnie Wonsch. Ile lat.

— Trzydzieści sześć.

— Narodowość?

— Polak.

— Wonsch to nie polskie nazwisko.

— Wszystko jedno. Jestem z Polski.

— Jak dawno?

— Osiem lat.

— Obecnie skąd?

— Z Ijuí.

— Zawód?

— Cieśla, ale pracowałem pewien czas jako murarz.

— Dobrze, potrzebujemy cieśli do budowy mostów. Z rodziną?

— Pozostała w Ijuí.

— Ile osób?

— Zona i troje dzieci.

— W porządku, Jutro może stanąć do pracy.

— Ile dostanę?

— To się zobaczy po robocie. W każdym razie nie mniej, niż inni. Na zakup narzędzi i żywności wydaję *vale*. Resztę należności wypłacamy ziemią.

— O to mi właśnie chodzi.

W ten sposób Antoni Wąs, który przybył do Brazylii z chciwością do ziemi, zaangażował się przy budowie drogi, aby wreszcie mogło spełnić się jego marzenie.

Praca nie była ponad siły. Pół setki ludzi — zbieranina różnych obywateli — ciąła przez las niezbyt szeroki szlak,

odciągała na bok zwalone pnie, przekopywała niewielkie wzgórza lub zasypywała jary i bagna. Mieszkali w niskich szałasach prymitywnie i ubogo. Co pewien czas przenosili się ze swymi budami dalej. Obóz zakładano zwykle nad rzeką lub strumieniem ze względu na wodę. Pracę rozpoczynano równo ze wschodem słońca, mrok kazał ją przerywać. Dobroduszny z wyglądu Werner w rzeczywistości był dokładnym i wymagającym zwierzchnikiem. Poza pracą nie interesował się robotnikami.

Wąs, jako człowiek praktyczny i umiejący się przystosować do warunków, szybko żył się z otoczeniem. Wielu spośród robotników, przybyło tu tak samo dla zdobycia kawałka ziemi. Ten i ów zdołał już oblecieć kawałek świata, doświadczył dosyć i nędzy, napatrzył się na wiele rzeczy i doszedł do wniosku, że dalsza tułaczka jest bezcelowa. Lata leciały szybko, nie miało sensu tyrać po cudzych kątach. Własny kawałek ziemi stanął przystań po burzliwym i niespokojnym życiu. W rozmowach prowadzonych, na ten temat wieczorami, Wąs niestrudzenie uczestniczył. Z ziemią wiązał wielkie nadzieje. Z określoną ilością zapracowanych wał mógł zgłosić się do najbliższego urzędu ziemskiego i żądać przydziału leśnej działki. To że wykrawano je z dzikiej puszczy nikogo nie przerażało. Puszcza już im nie była straszna, codziennie mieli z nią do czynienia. Dzień w dzień cieli splotane lianami chaszczę, walili sędziwe *angicos*, omszałe *louros*, lub nieprzyjemnie pachnące, woniejące gnojem, — *canelas*.

Najweselszym kompanem był Czech, Zilacek. Wąs lgnął do niego być może ze względu na pokrewieństwo krwi słowiańskiej, być może spragniony towarzysza o beztroskim usposobieniu. Czechowi prawie nigdy gęba się nie zamykała, opowiadał pieprzne kawały, z których śmiał się sam głośno i hałaśliwie. Gadanie to wносиło pewne urozmaicenie w monotonne życie. Miał jednak Zilacek wadę: lubił wypić. Wszyscy lubili wypić ale rzecz w tym, że Zilacek nie umiał zachować miary. Pod wpływem wódki stawał się zaczepny, uparty, niebezpieczny. Błuznił, rąbał *fakonem* co mu wzięło pod rękę szukał przeciwnika.

Pewnego razu Werner, obserwując z drwiącym uśmiechem zachowanie się Czecha powiedział:

— Wonsch, zajmijcie się waszym pobratymcą. Jeśli chce być świnią, to niech nie robi tego przynajmniej w mojej obecności. Ja lubię ludzi porządnych i pracowitych.

Wąs wziął Zilacka pod ramię.

— Co ci jest? Przecie rujnujesz zdrowie.

— Zdrowie? Szlag *aby ho trefil!*

— Pijesz, no to pij, ale nie rób cyrku.

— A ty Polaczku czego chcesz? Nie za twoje piję. Idź precz! Wszystko diabła warte i na wszystko...

Tu następowało dokładne określenie tego, na co mógł sobie pozwolić bez względu na warunki i otoczenie.

Postępowanie Czecha nasuwało podejrzenie, że pragnął utopić w wódce jakiś niezbyt pomyślny epizod własnego życia. O ile usta mu się nie zamykały, gdy opowiadał o przeżyciach w Europie i zaraz po wylądowaniu w Brazylii — w Rio i São Paulo — o tyle milczał jak zakłęty, kiedy Wąs wypytywał, co robił bezpośrednio przed obecną pracą. Mamrotał

niewyraźnie półgębkiem, niechętnie i zmieniał zaraz temat rozmowy. Jeśli istotnie Zilacek ukrywał coś to należało uszanować go milczeniem i Wąs nie nalegał. Często wyciągał go na włóczęgę po okolicznych lasach niby to na polowanie, w rzeczywistości zaś, żeby odciągnąć faceta od butelki.

Podczas jednej z takich wędrówek zatrzymali się nad rzeką, która tworzyła w tym miejscu ostry łuk i opadała na dół po kamiennych progach. Ledwie się tu dostali Zilacek od razu wykrzyknął:

— Doskonałe miejsce na mlin!

— Młyn?

— A cożes ty myślał — na stodołę? Tędy przebieć koryto, tu ustawić koło i już się kręci jak sto diabłów.

— Młyn?... — powtarzał Wąs w zamyśleniu.

Zilacek zaś chodził dokoła, medytował, badał pochyłość spadu i mlin ani rusz nie schodził mu z ust. Udzieliło się to wreszcie Wąsowi. Całą powrotną drogę nie myślał już o niczym innym tylko o młynie, który mógł stanąć nad rzeką i turkotać dzień i noc. Jak zabrać się do tego nie miał pojęcia. Ale nie to było ważne w tej chwili. Ważne było zdobycie właśnie tego kawałka ziemi z dostępem do rzeki. Szedł przodem z pochyloną głową, jakby obciążony nawałem myśli i milczał. Zilacek postępujący za nim wykrzykiwał raz po raz:

— Chłapie, co je s tobou? Procz nie mluvisz? Mlin! Mlin!...

2

Po uciążliwej wędrówce Wąs dotarł do niewielkiej osady, składającej się z kilkunastu chałup, skleconych z desek przetartych prymitywnym sposobem i krytych gontami, o oknach bez szyb, zawartych jeno okiennicami. W jednej z takich chat znajdowała się wenda Góreckiego. Był to raczej ubożuchny sklepik, zaopatrzone skromnie w najpotrzebniejsze artykuły. Na widok przybyłego sklepikarz sięgnął pod ladę, gdzie trzymał rewolwer. Wąs wyglądał na niebezpiecznego rzezimieszka — zakurzony, w podniszczonym ubraniu i obrośnięty jak ta-
manduą. W najlepszym wypadku mógł to być leśny włóczęga, a tacy też nie zawsze byli bezpieczni.

— Nie, nie jestem rabusiem — powiedział Wąs, który nie miał ochoty na poczęstunek ołowiem.

Ręka wendziarza cofnęła się spod lady.

— Zmęczony jestem. Odpocznę chwilę i zaraz wracam. Przybyłem po zakupy.

Górecki na dźwięk swojskiej mowy chrząknął. Był zakłopotany.

— A pieniądze macie?

— Mam vale.

— Podpisane przez Wenera?

— Ano.

— To tak samo dobre jak pieniądze.

Tak więc Górecki pozyskał o jednego klienta więcej, a Wąs zaznajomił się ze sklepem, w którym mógł zaopatrywać się we wszystko. Ucieszył się bardzo właśnie dlatego, że to u rodaka, z którym mógł się dogadać i potargować jak przystało. Górecki był również zadowolony. Za vale — po potrąceniu iluś tam procent na ryzyko transakcji — wydawał

klientowi potrzebne produkty po dość wygórowanej cenie. Następnie *vale* wymieniał w urządzie skarbowym na pieniądze. Nie mogło się tu, oczywiście, obejść bez pewnych wydatków: urzędnikowi należało dać upominek by sprawę załatwił od ręki, a *empreiteiro* Werner mógł liczyć zawsze na poczęstunek przy każdorazowym pobycie w osadzie, nie licząc drobnych świadczeń i przysług, niezbędnych w tych wypadkach. Oplacało się to jednak sownie. Werner wiedział do kogo kierować robotników; interes kwitł i wszyscy byli zadowoleni.

Plecak wyładowany prowiantami, leżał na ławce. Wąż łyknął kieliszek wódki, zagryzł suchą kiełbasą i otarł wąsy wierzchem dłoni.

— No, to idę.

— Bywajcie zdrowi. A nie zapominajcie o nas.

— Nie ma obawy. Wpadę tu jeszcze nie raz.

Powiedział to bez przekonania, raczej na odczepne. Nie miał pewności, czy wróci do tego zdziercy. Czuł się pokrzywdzony. Wprawdzie siekiera była ostra ze szwedzkiej stali, ale w nafcie podejrzewał sporą domieszkę wody. Mąka również wydawała się nie najlepsza — gotów był dać głowę, że więcej w niej mąki ryżowej i maniokowej, niż pszennej. No, ale niech go!... Na przyszłość będzie uważniejszy.

Szedł rażnym krokiem mimo znacznego ciężaru na plecach. Był tu po raz pierwszy więc rozglądał się ciekawie dookoła. Osada ledwie przybierała kształty miasteczka. Przy wąskiej drożynie zaczynającej się i kończącej w gęstwinie stało kilka domków, ogrodzonych płotami i bambusu. Prócz kilkorga dzieci, bawiących się koło jednej z chat było pusto i smutno. Ot, jedna z wielu świeżo wykluwających się osad rozrzuconych w puszczy aż od stepów Santo Angelo daleko na zachód, hen, aż po granicę argentyńską. Przypomniał sobie Ijuí, ludne i gwarne, pełne swojaków i mimo woli zrobiło mu się przykro i gorzko, że zapędził się tak daleko. Jedynym plusem przemawiającym na korzyść tych okolic była możliwość nabycia ziemi za odrobek ile kto chciał. Urząd powiatowy w Ijuí nie dawał podobnych udogodnień.

Kiedy wydostał się z osady wyminął go na drodze konny *gaucho*, zbrojny i pogrążony ostrogami. Obejrzał się z obawą, gdyż zdało mu się, że jeździec zbyt łakomie spoglądał na jego plecak. Później przejechała dwukołowa *carreta*, wyładowana worami z *herva-mate*. Produkt ten widywał często w magazynach w Ijuí i nie mógł się nadziwić, że idzie tego tak dużo. Później dowiedział się, że *herwe* ładowano w Porto Alegre na statki i wywożono do Argentyny i Chile. Niektórzy plantatorzy i kupcy dorobili się na niej fortuny. Marzyła mu się taka plantacja, ale dopóki nie miał ziemi mógł o tym tylko marzyć.

Skreślił z drogi na wąską ścieżynę i szedł teraz szczerem lasem. Był to szlak dobrze już przetarty i nie przedstawiający trudności. Raz po raz zagłębiał się w tunele takuary czy *kresjumo*, które gałęzie ktoś popodcinał gładko i wysoko. Las dawał świetną ochronę przed słoneczną spiekotą, ale nie chronił przed dusznością którą było przesycone powietrze.

(Dokończenie nastąpi)

Dziesięciolecie polskiego "Klubu 44" w São Paulo

W październiku r. 1964 minęło 10 lat od ukonstytuowania się w São Paulo polskiego "Klubu 44".

Kiedy małe grono osób zabrało się z entuzjazmem do jego organizacji większość rodaków odniosła się do tej idei raczej z rezerwą, nie wróżąc Klubowi długiego istnienia. A jednak przetrwał do dziś i jest nadzieja, że potrwa "póki my żyjemy", a może i dłużej. Zasluga w tym wszystkich członków Klubu, zwłaszcza zaś grupy zapalonych aktywistów. Do przetrwania długich 10 lat dopomogła też całkowita apolityczność Klubu i tolerancja przy mocnym jednocześnie niepodległościowym stanowisku ideologicznym.

Klub 44 posiada nie tylko charakter rozrywkowy. Stanowi on przede wszystkim ośrodek kultury polskiej. W ciągu 10 lat istnienia nie pominięta została żadna rocznica narodowa. Na setki policzyć można odczyty na tematy literackie, artystyczne i społeczne, a wśród prelegentów prócz sił miejscowych wystąpili m. in. sławista światowej sławy, prof. Domoradzki z Montrealu, prof. Szkoły Filmowej w Łodzi, Jerzy Toeplitz, Tad. Danielewski, Jakub Rotbaum i inni. W lokalu Klubu zorganizowano kilkanaście wystaw obrazów, jak żeby wyliczyć przykładowo: twórcy polichromii w polskiej kaplicy w São Paulo, Piotra Wróblewskiego, architektów W. Reifa i E. Wieczorka, J. Rostworowskiego, J. Danikiewicza, S. Kurletty, a ostatnio młodej i utalentowanej artystki, Bianki Topel.

Grał w Klubie niewidomy pianista, Kowalik i pianistka Marta Sosińska, śpiewała laureatka konkursu w Rio de Janeiro, Halina Słonicka i popularny piosenkarz Mieczysław Fogg, który dwukrotnie zapełnił salę rozentuzjazmowaną publicznością. Rewie, zorganizowane przez klubowy zespół komisji kulturalno-rozrywkowej, zarówno ze względu na teksty, jak i wykonanie stały zawsze na wysokim poziomie.

Biblioteka Klubu jest chyba największym zbiorem książek wśród polskich organizacji w Brazylii, gdyż liczy kilka tysięcy tomów dzieł polskich, nie licząc portugalskich, angielskich, francuskich i innych. Powiększyła się ona ostatnio dzięki cennemu darowi blisko 200 książek ofiarowanych przez młodą, uroczą przyjaciółkę Klubu, Krysę Zaleską.

Coroczne podwieczorki na św. Mikołaja gromadzą w Klubie dziesiątki polskich dzieci, które znajdują tu atmosferę, jak w dalekiej Ojczyźnie. Klub udzielił również gościnnie swój lokal Koło Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

W Klubie gościły takie postacie, jak drugi po Marszałku Józefie Piłsudskim żołnierz odrodzonej Polski, gen. broni Kazimierz Sosnkowski, jak b. premier Węgier Nikolas Kalay, który udowodnił, że powiedzenie: "Węgier Polak dwa bratanki" to nie są tylko czcze słowa, gdyż po klęsce wrześniowej otaczał w swym kraju polskich żołnierzy i uchodźców serdeczną opieką. Bywa też w Klubie za każdym pobycem w São Paulo mistrz Witold Małcużyński i znany na całym świecie inżynier konstruktor ze Stanów Zjednoczonych, T. Sendzimir. Przemawiał w Klubie znakomity literat i publicysta, A-

leksander Janta oraz młody poeta piszący po polsku i angielsku, Paweł Mayewski.

Klub ściśle współpracuje z "Alliance Française", która organizowała w Klubie niezwykle ciekawe odczyty i dostarczała, tak samo zresztą jak i Konsulat Generalny Stanów Zjednoczonych, filmów i przezroczny.

Można stwierdzić bez przesady, że Klub 44, jeżeli nie jest jedyną tego rodzaju organizacją na wychodźstwie, to w każdym razie — jedną z niewielu, a z jego działalnością kulturalną obeznane są wszystkie skupiska polskie, o czym świadczą głosy prasy emigracyjnej w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Francji, Szwajcarii i Australii.

Niestety, ludzie wykruszają się co roku, maleje liczba weteranów. Aby jednak zapobiec zagładzie Klubu w przyszłości przekazać go następnemu pokoleniu zorganizowane zostało przy Klubie Koło Młodzieży, mające na celu kontynuowanie na obszarze São Paulo kultury polskiej, w szczególności zaś literatury, sztuki, tańca i języka.

NAGRODY FUNDACJI ALFREDA JURZYKOWSKIEGO

Celem uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego, Fundacja Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku przeznaczyła \$ 10 000 na nagrody za wyróżniające się osiągnięcia twórcze w dziedzinie nauki, literatury i sztuki w latach 1963-64 dla Polaków bądź osób polskiego pochodzenia, niezależnie od ich obywatelstwa i miejsca zamieszkania. Przyznanie tych nagród zostało powierzone Polskiemu Instytutowi Naukowemu w Ameryce.

Instytut podaje do wiadomości publicznej, że następujące osoby otrzymały Nagrody im. Jurzykowskiego za rok 1964 w wysokości \$ 1 000:

Professor Dr Stanisław Pigoń, emer. kierownik katedry literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, senior polskich historyków literatury, za krytyczne wydanie dzieł Aleksandra Fredry.

Dr Maria Ossowska, profesor historii teorii moralności na Uniwersytecie Warszawskim, autorka dzieł z zakresu etyki i semantyki, za książkę "Socjologia moralności".

Gustaw Herling-Grudziński w Neapolu, powieściopisarz i eseista, za książkę "Drugie przyjście".

Sławomir Mrozek w Warszawie, autor dramatyczny, za sztuki teatralne z lat 1963-64.

Paweł Hostowiec w Bernie Szwajcarskim, eseista i publicysta.

Roman Palester w Monachium, kompozytor, za operę "Śmierć Don Juana" i inne prace z lat 1963-64 oraz

Krystyna Sadowska, rzeźbiarka w Toronto.

Nagroda z zakresu sztuki filmowej nie została przyznana. W zamian jej drugą nagrodę (w tej samej wysokości) z zakresu literatury otrzymał:

Zbigniew Herbert, poeta w Warszawie.

Specjalną nagrodę w wysokości \$ 2 000 za zasługi twórcze całego życia, otrzymał:

Kazimierz Wierzyński, obecnie w Rzymie, b. członek Polskiej Akademii Literatury, laureat złotego medalu za poezję na Olimpiadzie w Amsterdamie (1928), autor dwudziestu tomów poezji, w związku z przypadłym w r. 1964 pięćdziesięcioleciem jego twórczości.

LAMINAÇÃO DE ALUMÍNIO, CHAPAS, DISCOS,
ETC., EM TÓDAS AS ESPESSURAS E DUREZAS
— MATERIAL DE ALTA QUALIDADE PARA
TODOS OS FINS.

Laminação de metais

ELMET S. A.

ESCRITÓRIO E VENDAS:

- Rua Quirino de Andrade, 219, Conjunto 74.
- Telefone: 33-4936.

S ã o P a u l o

Mirvaine

Relógios

ANDRÉ DE BAC
Sigand

FERO
F. E. Roskopf

ROSKOPF LEGÍTIMO
Patent

MIRVAINE
IMPORTAÇÃO LTDA.

Rua Cons. Crispiniano, 379 -
7.º and., conj. 701
Tel.: 35-38-46

São Paulo

SPRZEDAJĘ i PRZYJMUJĘ

W K O M I S

książki
polskie

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga,

255 — s. 514

Caixa Postal 6335

Tel. 36-55-16

São Paulo

Elektryczne instalacje
przemysłowe

niskiego i wysokiego
napięcia

ELOBRA

OBRAS

ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 - 10.º
Conj. 103 — Tel.: 34-0806

São Paulo

**EMBELEZE
SEU LAR**

E VALORIZE SEU TV
TORNANDO-O
MODERNO,
FUNCIONAL
E AGRADÁVEL

**Mesas
ELEM
para TV**

Procure nas lojas
especializadas

Korzystajcie z usług

Companhia para Expansão da Construção

“COEXCO”

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy
mieszkalne.

W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykoń-
czenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad “COEXCO”:

Niezawodny termin

Stała, niezmienna cena

Własne tereny

Staranne wykończenie

Sprzedaż na raty

Companhia para expansão da construção ‘COEXCO’
São Paulo, Rua São Bento, 279 — 12 piętro — Tel.: 30-4737

CONSTRUÇÕES
MECÂNICAS

Rozenowicz Limitada

TRANSPORTADORES
ALIMENTADORES
ELEVADORES
PENEIRAS
MOINHOS DE MARTELOS
ESTRUTURAS METÁLICAS

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Caixa Postal, 11.912

SÃO PAULO

CONTITEC

CIA. CONTINENTAL
TÉCNICA

Rury stalowe bez szwu,
ciągnione na zimno
4,0 do 50,0 m/m średnicy i
0,5 do 2,75 m/m grubości
ściany

*Rury bez szwu miedziane,
mosiężne i aluminiowe.*

Praça Sta. Helena, 26
Caixa Postal, 8451
Fone: 63:6054

End. Telefónico
"CONTITEC"

SÃO PAULO

Tipografia Alada Ltda.

Rua Vitória, 237
Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

- Druki handlowe
wszelkiego rodzaju
- Zaproszenia na śluby
- Karty wizytowe
- Stemple

WYKONANIE SOLIDNE
I TERMINOWE

Week-endy i wakacje

RANCHO BOA ESPERANÇA,
SÃO JOÃO NOVO

1.000 m n. p. morza, źródła
wody mineralnej, uroczyska spa-
cery, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i
światłem elektrycznym, kuch-
nia polska.

CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — ko-
leją 1 i ½ godz. Estr. Soroca-
bana lub drogą kołową via
Estr. Raposo Tavares do May-
laski, a stamtąd 7 klm do
São João Novo.

Informacje telefonicznie:

Tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: São João Novo N.º 9.



Caldeiraria e Mecânica INOX LTDA.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDAVEL
— COBRE — ALUMINIO — FERRO —
RESERVATÓRIOS — AUTOCLAVES —
CALDEIRAS — TANQUES — TACHOS

EQUIPAMENTO PARA INDÚSTRIAS

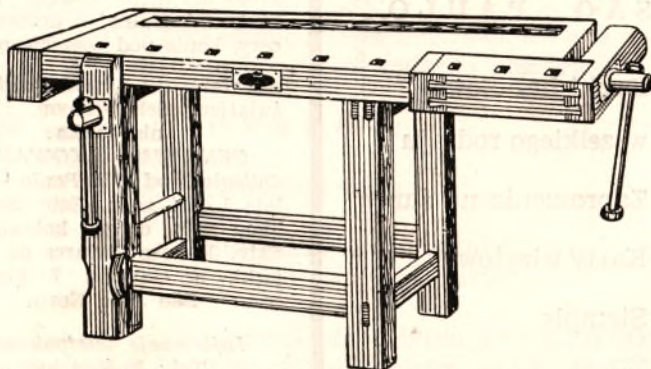
- ★ QUÍMICA — FARMACÊUTICA
- ★ GORDURAS — SABÕES
- ★ PERFUMARIAS — COSMÉTICOS
- ★ TÊXTIL — TINTURARIAS
- ★ PAPEL — PAPELÃO
- ★ CONSERVAS — CHOCOLATES
- ★ CARNES — FRIGORÍFICOS
- ★ LATICÍNIOS — PASTEURIZADOS
- ★ BEBIDAS — DISTILARIAS
- ★ PLÁSTICOS — BORRACHA
- ★ TRATAMENTO DE ÁGUA

ESCRITÓRIO E FÁBRICA: Rua Oliveira Lima, 455 —
Cambucí — Fone: 35-4995 — SÃO PAULO

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, - SÃO PAULO



Warsztaty stolarskie, modelarskie, dla ślusarzy, jubilerów
i innych zawodów. Instalacje przemysłowe. Wykonanie
specjalnych zamówień.

Na składzie dużo warsztatów gotowych.

União Química Paulista Ltda.

SÃO PAULO

Escritório: Rua Alvaro de Carvalho, 118, conj. 503/4

Tel.: 36-4532

Fábrica e Depósito: Rua Domingos Paiva, N.º 332 —

Tel.: 92-1919

Enderêço Telegr.: “ A N I L I C Q U A ”

DISTRIBUIDORES EXCLUSIVOS DE:

Anilinas e auxiliares p/indústrias: textil, couro e papel de

E. I. DU PONT DE NEMOURS & CO., U.S.A.

“LATYL”, “DEKATYL”, “PONSOL”, “SULFANTHRENE”,

“LEUCOSOL”, “PONTAMINE”, “PONTACHROME”,

“CHROMACYL”, “CAPRACYL” ETC.

ARIDEX, AVITONE, AVITEX, ALKANOL, DUPONOL,

ZELCON, ZESET, ZELEC, ZELAN ETC.

DISTRIBUIDORES EXCLUSIVOS DE:

THE TANATEX CHEMICAL CORP. U.S.A.

**PRODUTOS ESPECIAIS P/ PROCESSOS DIFICEIS
DE BENEFICIAMENTO**

Carriers p/ tingimento de fibras polyester etc.

TANALON ESPECIAL, TANAPAL ME, TANAPON X-70,

CAROLID, TANAVOL e outros

REPRESENTANTES PARA O BRASIL DE

INDUSTRIE CHIMICHE BARZAGHI - UFA, Italia

Produtos p/ acabamento Textil e Indústria Petro-

lífera na base de resina e cellulose

SOLIDINA, GELOGUM, etc.

CHEMISCHE FABRIK RUDOLF & CO., Alemanha

Especialidades p/ beneficiamento de fibras em geral

R U C O N E T Z E R etc.

Tricot-lã

sweater
original

